

INFORMATOR

Towarzystwa Przyjaciół Skawiny

Numer 110 (1/2025)



Wydawca:
Towarzystwo Przyjaciół Skawiny
ul. Żwirki i Wigury 23/16
32-050 Skawina

Publikacja współfinansowana ze środków
budżetu Miasta i Gminy Skawina

Redakcja:
Stanisław Grodecki, Mariusz Tarnopolski,
Ewa Tarnopolska

*Redakcja „Informatora Towarzystwa Przyjaciół Skawiny”
zastrzega sobie prawo do selekcji nadesłanych materiałów,
a w razie potrzeby do ich korekty.
Materiały do druku przyjmowane są wyłącznie
w formie elektronicznej.
Niezamówionych materiałów Redakcja nie zwraca.
Redakcja i Autorzy nie otrzymują honorarium
za nadesłane teksty.*

Adiustacja:
Magdalena Świerzowska

© Copyright by Towarzystwo Przyjaciół Skawiny
Skawina 2025

ISSN 1234-0162

Nakład: 500 egz.

Skład i druk:
Wydawnictwo i Drukarnia TERCJA
ul. Golikówka 77/1, 30-723 Kraków
tercja-tercja1@o2.pl

SPIS TREŚCI

<i>Skawiniacy w siedmiomilowych butach — słowo wstępne</i>	4
<i>Maciej Skawinka (XV w.)</i>	6
<i>Ksiądz Sebastian Piskorski (1636–1707)</i>	10
<i>Zofia Dulowska (1893–1988)</i>	14
<i>Anatol Krakowiecki (1901–1950)</i>	18
Stanisław Niedbała, <i>Futurologiczna wizja mojej wsi</i>	22
Krystyna Kolstrung-Grajny, <i>„I tam są ludzie — i tam mają duszę”. Kilka wspomnień o dobrych Niemcach.</i>	34
Marcin Kania, <i>Fotografia odnaleziona bez szukania.</i>	46
Anna Tarnopolska, <i>Szlakiem soli, kolei i... kanapek z jajkiem, czyli wakacyjna wyprawa do Bochni</i>	51
Anna Tarnopolska, <i>„Pod niebem Afryki”.</i>	55
Anna Tarnopolska, <i>„Melodia zdrowia i radości” — oczami wolontariuszki</i>	59
Małgorzata Kopeć, <i>LXXVI Międzywyprawowe Posiedzenie Łoży Zdobywców Korony Gór Polski w Skawinie</i>	62
Anna Tarnopolska, <i>Słowa, które leczą...</i>	66

SKAWINIACY W SIEDMIOMIŁOWYCH BUTACH — SŁOWO WSTĘPNE

Z przyjemnością oddajemy w ręce Czytelników kolejną część cyklu biograficznego zatytułowanego *Skawiniacy w siedmiomilowych butach*, który rozpoczęliśmy w „Informatorze TPS”, nr 88. Cykl ten, niestety na dłuższy czas zapomniany, dziś wraca na karty naszego periodyku, by z nową siłą przypominać o ludziach, którzy swoją drogą, pracą i swoim talentem przekraczali granice epok i miejsc.

Na kartach tego numeru przywołujemy sylwetki ludzi wyjątkowych — skromnych, a jednocześnie niezwykle zasłużonych. To osoby, które nie tylko wyrastały z lokalnego pejzażu Skawiny, ale też na trwałe wpisały się w jego kulturową tożsamość.

Autorka cyklu, śp. Anna Kudela, z właściwą sobie wrażliwością i dbałością o źródła przybliżyła nam losy czterech postaci: pracownice benedyktyna i fundatora szpitala Macieja Skawinki, erudyty i rektora Akademii Krakowskiej ks. Sebastiana Piskorskiego, niezłomnej nauczycielki i organizatorki tajnego nauczania Zofii Dulowskiej oraz Anatola Krakowieckiego — pierwszego znanego w całym kraju pisarza pochodzącego ze Skawiny.

Choć różnią ich epoki, w których żyli, życiowe wybory i formy działalności, łączy jedno: głęboki związek z rodzinnym miastem. Ich biografie, często splecione z historią Polski, są nie tylko świadectwem minionych czasów, ale też inspiracją — pokazują bowiem, że z małego miasta można wyruszyć ku wielkim ideom, pamiętając przy tym o własnych korzeniach.

Zachęcam Państwa do lektury tych pięknie opracowanych wspomnień, które w niezwykle sugestywny sposób ukazują znaczenie biografii lokalnych bohaterów w kształtowaniu tożsamości wspólnoty i międzypokoleniowego porozumienia. To właśnie takie opowieści sprawiają, że „mała ojczyzna” staje się przestrzenią żywej pamięci — poprzez twarze, czyny i historie ludzi, którzy ją współtworzyli.

Autorką biogramów jest Anna Kudela. Rysowała Magdalena Szynkarczuk.

Mariusz Tarnopolski

foto M. Kania



MACIEJ SKAWINKA (XV W.)

Maciej Skawinka, nazywany też Maciejem ze Skawiny, żył w XV w. Nie znamy daty jego urodzenia ani imion rodziców, ale wiemy, że pochodził z niebogatej rodziny skawińskich mieszczan i że przez kilka lat studiował na Akademii Krakowskiej (w dawnych czasach tak właśnie nazywał się dzisiejszy Uniwersytet Jagielloński). Następnie Skawinka wstąpił do zakonu benedyktynów i odbył nowicjat w klasztorze w Kościelnej Wsi pod Kaliszem. Po jego zakończeniu wrócił do Tyńca.

Maciej Skawinka wyróżniał się wśród innych zakonników głęboką religijnością, wielką pracowitością i troską o klasztor, który w tamtych czasach nieco podupadł. Wkrótce został wybrany na stanowisko przeora i pełniąc tę funkcję, doprowadził opactwo do rozkwitu. Wyburzył popadający w ruinę stary romański kościół, a na jego fundamentach wzniósł dwukrotnie dłuższą świątynię gotycką, z trzema nawami i chórem. Przebudował także klasztor i odnowił go. Stopniowo odzyskiwał zagrabione przez sąsiadów pola i całe majątki, często w drodze procesów sądowych. Umocnił i odnowił mury obronne otaczające opactwo, dbał też bardzo o gospodarstwo klasztorne — ogrody, sady i winnice. Nie poprzestał na sprawach materialnych. Podjął reformę życia wewnętrznego klasztoru, przywracając mu stosowną dyscyplinę. Zorganizował opiekę nad chorymi i założył w klasztorze skryptorium, czyli pracownię, w której ręcznie przepisywano księgi. Z jego inicjatywy w benedyktyńskich dobrach w Tuchowie koło Tarnowa powstała nowa placówka klasztorna.

Maciej Skawinka nie zapomniał o swoim rodzinnym mieście. W 1471 r. ufundował na przedmieściu szpital. Przeznaczył na ten cel pole, zwane Markowskim, a na utrzymanie placówki przekazał łan ziemi w Pisarach. Szpital działał przez ponad 400 lat. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach szpital nie był wyłącznie placówką leczącą chorych, ale był też czymś w rodzaju domu opieki dla ludzi starych, chorych, pozbawionych rodziny i środków do życia. Podczas szalejącej w Krakowie zarazy Maciej Skawinka udzielił w Tyńcu schronienia synom królewskim, którzy przybyli tam ze swym



Część środkowa *Tryptyku z Tuchowa*. „W adorancie z infułą i pastorałem opartym na ramieniu i klęczącym u stóp św. Macieja dr Maria Goetel-Kopffowa, kustosz MNK, rozpoznała opata benedyktynów tynieckich Macieja ze Skawiny, zwanego Skawinką (1452–1477) — założyciela klasztoru w Tuchowie, zaś Ewa Łomnicka-Żakowska uznała w drugim benedyktynie brata Grzegorza, prepozyta parafii tuchowskiej w latach 1460–1467”. Za: <https://www.tuchow.pl/sport-turystyka/tuchowskie-zabytki-pomniki-historii/tryptyk-z-tuchowa/> (ilustracja i opis).



ilustracja z domeny publicznej

Strony z *Graduatu* Macieja Skawinki (*Graduale de tempore et de sanctis*) z biblioteki cyfrowej Polona. Kodeks zawiera 344 karty iluminowane. Oryginał znajduje się w zbiorach Biblioteki Narodowej, sygnatura: rps 12721 V. Format 56 × 38 cm.

opiekunem, sławnym Janem Długoszem. Olśniony pięknem opactwa Długosz nazwał je „klejnotem ojczystym”.

Zachowany do dnia dzisiejszego wizerunek Macieja Skawinki pochodzi z *Tryptyku z Tuchowa*, namalowanego przez Jana z Nysy dla kościoła św. Jakuba w Tuchowie na zamówienie samego przeora. Malarz przedstawił postać Skawinki w pozie podkreślającej jego kult dla Matki Boskiej. Opat Maciej jest postacią drugoplanową, ale namalowaną niezwykle starannie. Jest pierwszym skawinianinem, którego wizerunek został uwieczniony w sztuce.

KSIĄDZ SEBASTIAN PISKORSKI (1636–1707)

Nieczęsto rodzą się ludzie tak wszechstronnie utalentowani, tak pracowici i tak skuteczni w swoich poczynaniach, jak ks. Sebastian Piskorski. Rodzina Piskorskich pochodziła z ziemi dobrzyńskiej. Była to niezamożna szlachta, pieczętująca się herbem Dołęga. Sebastian, syn Marcina, urodził się w 1636 r. w Skawinie i tutaj, w miejscowej szkole, pobierał pierwsze nauki. Na Akademii Krakowskiej zetknął się z innym skawinianinem Wojciechem Łańcuckim, który właśnie został rektorem tej uczelni. Z tej okazji Sebastian napisał ku jego czci wiersz. W innym utworze nazwał go swym „Patronem”. Po ukończeniu Akademii kontynuował studia w Padwie i Rzymie. Był wszechstronnie wykształcony. Uzyskał doktorat z prawa, studiował nauki wyzwolone (czyli humanistyczne), był świetnym nauczycielem, architektem, a wreszcie księdzem. Świecenia kapłańskie przyjął w 1676 r., w wieku 40 lat.

Lista jego prac jest długa. Już w młodości, by zarobić na życie i studia, był wychowawcą synów możnych rodzin: Szembeków, Radziwiłłów i Sobieskich. Wychowywał też dzieci księżnej Katarzyny Radziwiłłowej, czyli siostry króla Jana III Sobieskiego. Wkrótce zasłynął także jako znakomity kaznodzieja.

Jako kapłana interesowało go życie pustelników, a że był człowiekiem czynu, zaowocowało to w dwóch dziedzinach: w literaturze — bo przetłumaczył na język polski żywoty pustelników — i w architekturze — bo zaprojektował erem (czyli pustelnię) błogosławionej Salomei w Grodzisku koło Skały i sam pokierował jego budową. Napisał też książeczkę objaśniającą znaczenie symbolicznego wystroju eremu.

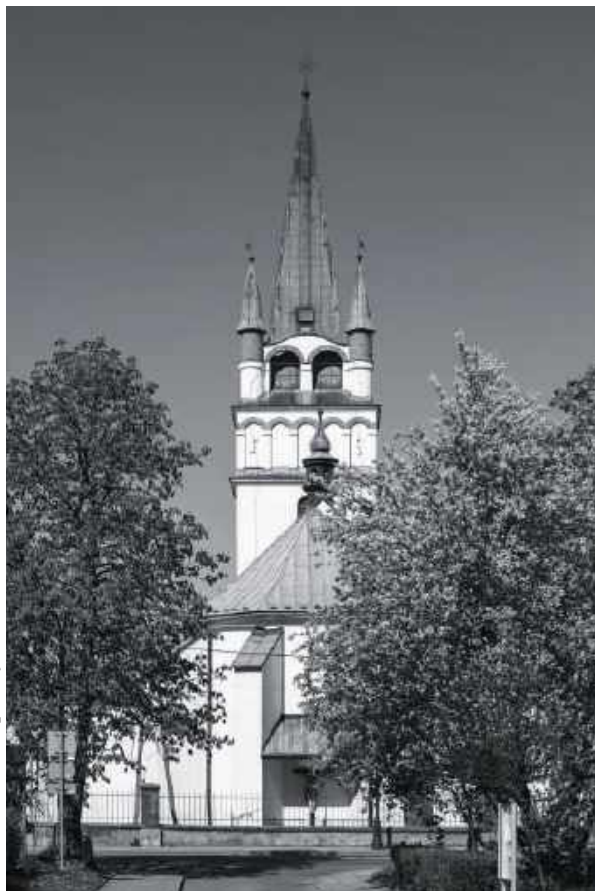
Najważniejszym jego dziełem jest budowa i opracowanie projektu wnętrza kolegiaty św. Anny w Krakowie, która do dziś należy do najpiękniejszych kościołów w stylu barokowym. Do wykonania tego planu sprowadził sławnego artystę włoskiego Baltazara Fontanę. Jako uczony wykładał prawo w Akademii Lubrańskiego w Poznaniu, a od 1683 r. — w Krakowie. W latach 1693–1699 był rektorem Akademii Krakowskiej. Przy tylu rozlicznych zajęciach nie zapomniał o swym rodzinnym mieście. W testamencie zapisał





S. Piskorski, *Argo Sarmatica quam sub auspiciis*, Cracoviae, [s.n.], 27 III 1664, frontispis, rycina J. A. Gorczyzna (źródło: domena publiczna)

Kościół pw. Świętych Apostołów Szymona i Judy Tadeusza w Skawinie.
Widok od ul. Wspólnej (foto M. Kania)



spore sumy skawińskiemu kościołowi parafialnemu i szpitalowi. Zapisując Uniwersyteckiemu Kolegium Prawniczemu cały swój księgozbiór i dzieła sztuki, zastrzegł jednocześnie, że w razie potrzeby należy je udostępniać studentom ze Skawiny. Poza tym przeznaczył osobny fundusz na tzw. borkarnę (pomoc materialną) dla studentów ze Skawiny.

Na starość ks. Piskorski stracił wzrok. Zmarł 17 sierpnia 1707 r. Pochowany został w podziemiach kościoła św. Anny w Krakowie. Na nagrobku ufundowanym przez jego wychowanków Szembeków widnieje napis: „ozdoba rodzaju ludzkiego”.

ZOFIA DULOWSKA (1893–1988)

Na początku XX w. Skawina znacznie się rozrosła. Przybyło też dzieciaków w obu szkołach, w związku z czym władze oświatowe zatrudniły kilkoro nowych nauczycieli. Wtedy właśnie rozpoczęła pracę w Skawinie pani Zofia Dulowska. Miała już chyba ponad 30 lat i niemałe doświadczenie pedagogiczne. Wysoka, szczupła, ubierała się starannie i elegancko, lecz bez żadnej przesady. Była osobą niezamężną, ale bynajmniej nie samotną. Wraz z nią przybył do naszego miasta jej ojciec — staruszek i młodsza siostra, panna Marysia, która prowadziła ich dom. Nowa nauczycielka miała wysokie kwalifikacje do nauczania kilku przedmiotów, także fizyki. Była surowa i wymagająca, budziła powszechny szacunek, zwłaszcza że wymagała bardzo dużo, również od siebie. Ach, jak wspaniale potrafiła przekazywać wiedzę! Najmniej atrakcyjne tematy okazywały się nagle niezmiernie ciekawe, a wiadomości układały się w uczniowskich głowach tak łatwo, że właściwie niewiele czasu trzeba było poświęcić na naukę — wystarczyło przeczytać notatki z lekcji.

Kiedy Zofia Dulowska rozpoczynała pracę w Skawinie, szkoły mieściły się w dwóch budynkach — w obecnym Specjalnym Ośrodku Szkolno-Wychowawczym oraz w późniejszej Poradni Szkolno-Wychowawczej. W grudniu 1931 r. oddano do użytku nowoczesny, duży gmach szkolny z miejscem na boiska i ogródek. Wkrótce po przeprowadzce obu szkół dotychczasowa dyrektorka szkoły żeńskiej przeszła na emeryturę, a kierowanie placówką powierzono Zofii Dulowskiej, która pozostała na tym stanowisku do 1951 r. Nowa dyrektorka miała rozwinięty zmysł organizatorski, więc szkoła tętniła życiem. Działały w niej drużyna harcerska i gromada zuchowa, sklepik i kasa oszczędności (SKO), a uczniowie opiekowali się szkolnym ogródkiem. Wszystko to miało służyć lepszemu przygotowaniu dzieci do życia, nauczaniu ich zaradności, wpojeniu im szacunku dla pracy i systematyczności, a nade wszystko — miłości do niedawno odzyskanej Ojczyzny. Szkoła kierowana przez Zofię Dulowską nie tylko uczyła, ale też wychowywała.

We wrześniu 1939 r. rozpoczął się straszny czas okupacji niemieckiej i skawińskie dzieci zostały pozbawione swojej szkoły,



którą zajęli okupanci. Dla rodziny Dulowskich oznaczało to wyrzucenie na bruk z dużego, komfortowego mieszkania służbowego. Pani Zofia znalazła mieszkanie na pięterku domu inż. Horna przy ul. Żwirki i Wigury. Znacznie trudniej było znaleźć miejsca, w których można było uczyć. Wynajęto jakieś salki zastępcze w różnych punktach miasta, ale było ich za mało dla dwóch siedmioklasowych szkół. Nauka odbywała się więc co drugi dzień: w poniedziałki, środy i piątki uczyła się szkoła żeńska, a we wtorki, czwartki i soboty — szkoła męska. Klasy miały miejsca stałe, nauczyciele przechodzili na przerwach tam, gdzie miała odbyć się kolejna lekcja. Kierowanie dużą szkołą w tych warunkach to był naprawdę trudny orzech do zgryzienia.

Jeszcze jesienią 1939 r. władze okupacyjne zabroniły nauczania historii, geografii i literatury polskiej. Uczniom pozabierano podręczniki do tych przedmiotów, dyrekcjom szkół nakazano oddanie wszystkich map, globusów, atlasów i szkolnych bibliotek. Rozkazów Niemców nie można było zbagatelizować, bo ich niewykonanie groziło śmiercią. Do magistratów powędrowały więc globusy, część map oraz atlasów i znaczna część szkolnej biblioteki. Na szczęście tylko część, bowiem pani Dulowska wybrała najważniejsze z map i z narażeniem życia, dzięki pomocy wielu odważnych ludzi, ukryła je przed okupantem. Wszystkie one przetrwały wojnę. To był chyba pierwszy odruch oporu wobec okupanta w naszym mieście.

Wkrótce pojawiły się kolejne przejawy buntu przeciwko władzom niemieckim. Zabronionej w szkole historii, geografii i literatury ojczyściej zaczęto się uczyć po kryjomu w małych, kilkusobowych grupkach, zwanych kompletami. Było to tzw. tajne nauczanie. Pani Dulowska jako jedna z pierwszych zaczęła je systematycznie prowadzić — w domach uczniów i u siebie. Miejsca spotkań kompletów zmieniano często, żeby nie zwracać uwagi Niemców, a także donosicieli, którymi wysługiwali się okupanci. Niestety, znaleźli się i tacy. Pewnego razu, jakoś na początku okupacji, ktoś złożył donos na Panią Dyrektor, że zajmuje się kolportażem gazetek wydawanych przez ruch oporu. Przeprowadzono w jej domu gruntowną rewizję, ale niczego nie znaleziono. Nie było podstaw do zatrzymania jej.

W miarę upływu lat rozwinęło się tajne nauczanie i inne formy konspiracyjnego życia kulturalnego. W 1942 r. powstała w Skawinie

Tajna Komisja Oświaty i Kultury, w skład której weszła także pani Zofia Dulowska. W zimie 1945 r., po sześciodniowych ciężkich walkach, Niemcy zostali wyparci ze Skawiny. Przez kilka tygodni szkoła mieściła szpital polowy, a gdy wojsko zwróciło ją cywilom, budynek wymagał gruntownego remontu. Pani Dyrektor i podległe jej nauczycielki miały pełne ręce roboty... Zbierano fundusze na remont, organizowano pomoc dla najbiedniejszych i najbardziej dotkniętych wojną rodzin, tworzono bibliotekę szkolną. Starania pani Dulowskiej wsparł dr Jerzy Polański. Przygotował rewię dziecięcą pt. *Zaczarowana kapela*, z której dochód walczył o przyczynienie się do szybkiego ukończenia prac remontowych.

Zofia Dulowska przeprowadziła powierzoną sobie szkołę przez najtrudniejsze lata wojny i przez pierwsze powojenne pięciolecie. W 1951 r. straciła swoje stanowisko. Dla ówczesnych władz nie była „wystarczająco postępową”. Została dyrektorką wieczorowej szkoły podstawowej i z tego stanowiska przeszła na emeryturę. Dla swoich wychowanek była zawsze wzorem prawości i wierności zasadom.

Zmarła w wieku 95 lat. Na jej grobie, odnowionym staraniem jej dawnych wychowanek, widnieje napis: „Zasłużonej, Wieloletniej Dyrektorce Szkoły Żeńskiej w Skawinie — Uczennice”. Ta skromna inskrypcja wyraża wielką wdzięczność wielu pokoleń skawinianek.

ANATOL KRAKOWIECKI (1901–1950)

Życie każdego człowieka nierozzerwalnie związane jest z losem jego narodu. Widać to jak na dłoni w biografii Anatola Krakowieckiego, pierwszego skawinianina, który został znanym w całej Polsce pisarzem i dziennikarzem.

Anatol Eugeniusz Krakowiecki urodził się 11 maja 1901 r. Dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Skawinie, którą kochał całym sercem. W wieku 15 lat porzucił jednak dom rodzinny, by wstąpić do Legionów Polskich. Trwała wówczas wojna, którą potem nazwano I wojną światową, a Anatol bardzo chciał uczestniczyć w walce o wolną Polskę. Nie miał wówczas szczęścia. Skawinianie zawiadomili jego mamę, która przyjechała i zabrała syna do domu. Anatol był chłopcem roslym, zatem komisja wojskowa łatwo mogła uwierzyć, że jest starszy niż w rzeczywistości. Ale przecież dzieci do armii nie przyjmowano. Gdy jednak Krakowiecki osiągnął wymagany wiek, zaciągnął się do II Brygady Legionów Polskich i przeszedł całą kampanię wołyńsko-litewską. Maturę zdawał już w żołnierskim mundurze — w czasie urlopu wojskowego przed nauczycielami z Gimnazjum nr VI w krakowskim Podgórzu. Pod Przemyślem został ranny. Po rekonwalescencji wrócił do wojska i brał udział w zdobyciu Wilna.

Po wojnie rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale porzucił naukę, by pracować jako dziennikarz. Publikował najpierw w „Głosie Narodu”, a potem w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”. Wkrótce objawiły się inne talenty Krakowieckiego — pisał zabawne komedie, wystawiane przez teatry w całej Polsce, współpracował z krakowskim teatrykiem „Gong”, współorganizował też coroczne „Parady parodij”. Napisał powieść sensacyjno-kryminalną *Lament światów*, a książkowe wydanie jego felietonów *Spójrz razem na świat* rozchodziło się jak świeże bułeczki. W latach 30. XX w. żartowano nawet, że w Krakowie połowa każdego słupa ogłoszeniowego oblepiona jest plakatami reklamującymi dzieła Krakowieckiego. Było w tych słowach nieco prawdy, bo kilka teatrów w tym samym czasie wystawiało jego komedie i krótkowile. Utwory te otrzymywały zazwyczaj dobre recenzje.



Po przedstawieniu *Sezamie, otwórz się!* Kazimierz Czachowski (jeden z najlepszych ówczesnych krytyków literackich) napisał:

Dawno już na scenie krakowskiej nie było premiery, którą by widownia przyjmowała tak gorąco. Pod maską beztróskiego humoru powiało duchem młodego pokolenia.

Pan Anatol miał już wtedy własne mieszkanie w Krakowie przy ul. Szpitalnej 22, ale nadal bywał częstym gościem w Skawinie. Szukał tu odpoczynku od pełnego wrażeń życia artysty.

Szczęśliwe dni skończyły się wraz z wybuchem II wojny światowej. Literat znalazł się na terenach zajętych przez Związek Sowiecki. Został uwięziony przy próbie przekroczenia granicy i trafił ostatecznie do łagru na Kołymie. Odzyskał wolność po ponad dwóch latach, gdy na mocy porozumienia gen. Władysława Sikorskiego z władzami ZSRR ogłoszono amnestię dla Polaków i zezwolono na tworzenie polskiego wojska. Wraz z armią gen. Andersa Krakowiecki znalazł się w Bagdadzie. Był wolny, ale do ukochanych miejsc — Krakowa i Skawiny — nigdy już nie wrócił. Po zakończeniu wojny pozostał na emigracji i zamieszkał w Londynie. Nadal pisywał komedie (np. *Dom pachnie sianem*, 1949), lecz dziełem jego życia stała się oparta na własnych doświadczeniach *Książka o Kołymie*. Po trwających kilka lat staraniach i różnych trudnościach publikacja ukazała się drukiem w 1950 r. w Wielkiej Brytanii.

W czasie swej wojennej i powojennej tułaczki skawiński literat zobaczył pół świata, ale zawsze rozpaczliwie tęsknił do swoich stron. Pisał:

Bo w Skawinie rzeka płynie
Cichutko w wiklinie
I słowik drze się jak wariat
W pobliskiej leszczynie
I tajemniczych jest pełno szelestów
W długich szpalerach bżów, malin, agrestów —
Nocą głucho stukają grusze spadające
Dniem się jabłka rumienią jak słońce,
Żyto kwitnie szaleństwem wręcz nieokiełznanym
I można się odurzyć na śmierć w czerwcu sianem
I las! W nim sosny i brzozy i grzyby i mrówki,



Dokument zwolnienia Anatola Krakowieckiego z łagru (źródło: Wikipedia)

A las się nazywa, jak w bajce: Cichówki!
— to słowo się widzi, to słowo się słyszy,
Tyle w nim lasu, zieleni i ciszy!...

Anatol Krakowiecki zmarł nagle 7 kwietnia 1950 r. Został po-
chowany na cmentarzu Gunnersbury w Londynie, z dala od miejsc,
które ukochał najbardziej...

Stanisław Niedbała

FUTUROLOGICZNA WIZJA MOJEJ WSI

1. PAMIĘCI STASZKA Z KORABNIK

Staszek był moim sąsiadem, którego — jak mawiały nasze babcie — bocian przyniósł trzy lata później ode mnie. Wychowywał się w rodzinie chłopsko-robotniczej. Uczęszczał do miejscowej szkoły podstawowej. Ukończył liceum w Skawinie. Po paroletniej pracy w szamotowni wziął rozbrat ze skawińskim przemysłem i został zawodowym żołnierzem.

Później założył rodzinę i odszedł z wojska. Pracował w szkole w Krzęcinie, a jednocześnie rozpoczął zaoczne studia pedagogiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim, z rozpędu kończąc na tej uczelni także... dziennikarstwo. Niestety stan zdrowia nie pozwolił Staszekowi na wykorzystanie tych fakultetów.

Odszedł w 2016 r. Spoczywa na cmentarzu parafialnym w Skawinie, pochowany razem z żoną i rodzicami.

Tyle tytułem wstępu do Staszka pracy z 1972 r. pt. *Futurologiczna wizja mojej wsi* — wsi Korabniki, które zostały w 1973 r. włączone administracyjnie w granice Skawiny.

Jan Liskiewicz

2. OD REDAKCJI

Do opracowania przekazano kserokopię maszynopisu nieżyjącego już autora. Tekst przepisano na komputerze, po czym wprowadzono niezbędne korekty: poprawiono błędy literowe i interpunkcyjne, ujednolicono zapis tekstu głównego zgodnie z zasadami współczesnymi, zdyscyplinowano oraz uzupełniono przypisy. Pod względem graficznym tekst przystosowano do wymogów artykułu w periodyku popularyzującym. Należy wziąć pod uwagę, że niniejsza rozprawa wyszła spod pióra studenta — zdolnego, ale jednak wciąż podlegającego procesowi edukacji (II rok). Jest przez to cennym dokumentem, który pokazuje światopogląd oraz marzenia młodego człowieka, dorastającego na przełomie lat 60. i 70. ubiegłego wieku.

3. FUTUROLOGICZNA WIZJA MOJEJ WSI

*Jeżeli duch narodu ma się odrodzić
to tylko na podstawie tej miłości i poszanowania
dla przeszłości i jej pamiątek [...]*

Stanisław Wyspiański, *Pamiętnik*, sierpień 1888 r. Korabniki

Niniejsze opracowanie dotyczy miejscowości Korabniki w powiecie krakowskim i obejmuje następujące zagadnienia:

1. Rys historyczny
2. Obraz dnia dzisiejszego
3. Moja wizja futurologiczna
4. Sozologiczne ujęcie środowiska, w którym zamieszkuję

Motto:

[...] Domy są kolorowe, zależne od natury okolicy, od natchnienia artysty, ale i od upodobania mieszkańców... Rozciągnie ona nowe szklane domy, rozrzuci je po szerokich pustkach, ugorach, polach, lasach dawnych latyfundiów [...]

Stefan Żeromski, *Przedwiośnie*, część I — *Szklane domy*, wyd. XXI, 1971 r.

Miejscowością, którą zamieszkuję i którą chciałbym opisać, są Korabniki. Jest to wieś położona na prawym brzegu Wisły, w odległości 12 km od Krakowa w kierunku południowo-zachodnim i 6 km od Tyńca. Przez miejscowość przebiega droga łącząca E-7 z Oświęcimiem oraz droga łącząca Skawinę z Mogilanami. Przez wieś przepływa niewielki strumyk Rzepnik. Korabniki graniczą ze Skawiną. W Polsce znajdują się trzy miejscowości o takiej samej nazwie: Korabniki w powiecie krakowskim, Korabniki w powiecie jarosławskim oraz Korabniki leżące na lewym brzegu Wisły, o pięć wiorst w dół rzeki za Włocławkiem¹.

Nazwa wsi pochodzi od słowa *korab*, czyli okręt².

Wieś powstała około XI–XII w. i podlegała Opactwu Benedyktynów w Tyńcu. Tutaj, w Tyńcu mieszkańcy osady remontowali łodzie i galary będące własnością zakonu benedyktynów. Początki osady nie

¹ *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 4, Warszawa 1883, s. 390–391.

² [*korab* za: S. B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. II: G–L, Lwów 1855, s. 442].

są dokładnie znane. Wiadomo, że jej mieszkańcy oprócz wykonywania nakazanych prawem obowiązków w Tyńcu zajmowali się uprawą roli oraz bednarstwem. Do dzisiejszego dnia około 20% rodowitych korabniczan nosi nazwisko Czopek. Nazwisko to prawdopodobnie pochodzi od wyrazu pospolitego *trzop* oznaczającego zatyczkę do beczki. Od chwili założenia osada była mocno związana z Tyńcem. Tutaj ludzie pracowali, zawierali związki małżeńskie, tu chodzili do kościoła. Kościoła w najbliższej okolicy nie było.

Dopiero w roku 1364 Kazimierz III Wielki nadaje Skawinie prawa miejskie: „Pro honore civitatis nostrae in Skawina”³. Podnosi Skawinę do rangi miast królewskich, w których obowiązuje prawo magdeburskie, nadaje jej herb i funduje kościół parafialny. Tak więc około roku 1366 parafia z Tyńca przenosi się do Skawiny. Ten akt spowodował rozwój stosunków gospodarczo-społecznych między Korabnikami a Skawiną. Mieszkańcy Korabnik pełnili funkcje służebne w Skawinie. Po śmierci Kazimierza Wielkiego Skawina przechodzi na własność opactwa tyńskiego i znów zacieśniają się stosunki Korabnik z Tyńcem. Benedyktyni każdej parze wstępującej w związek małżeński darowali po jednym drzewku owocowym. Jeżeli drzewko się przyjęło i rośło, to wtedy związek zapowiadał się na trwały i szczęśliwy⁴.

W czasie wojen prowadzonych w latach 1634–1683 najbardziej dał się odczuć tzw. potop szwedzki. Szwedzi idący na Kraków obrócili w gruzy miasto kwitnące i tętniące życiem. Razem ze Skawiną ucierpiały też Korabniki. W latach tych powstaje w Korabnikach przysiółek Kora, tzw. Szwaby. Osadzono tu po najeździe szwedzkim jeńców pochodzenia niemieckiego. 6 sierpnia 1683 r. Skawina była punktem zbornym dla husarii polskiej udającej się pod Wiedeń. Wojska Jana III Sobieskiego przemaszerowały również przez Korabniki. Tego dnia król zarządził przegląd 2000 towarzyszy jazdy, którzy bezpośrednio potem pod wodzą hetmana Mikołaja Sieniawskiego wyruszyli na odsiecz Wiednia⁵.

³ Wyciągi z druków archiwalnych biblioteki Ossolińskich: *Skawina w dawnych wiekach* — monografia.

⁴ Tamże.

⁵ Podanie ustne o zwyczajach.



Dwór w Korabnikach, 2023 r. (foto M. Kania)

W XVI–XVIII w. Korabniki były kilkakrotnie nawiedzane przez epidemie cholery. Znajdują się tutaj dwa cmentarze choleryczne. Ziemi, na której gospodarowano, nie można zaliczyć do urodzajnej. Można było tutaj uprawiać jedynie żyto, ziemniaki i owies. Chaty były kurne, kryte strzechą, zbudowane z drewna. W roku 1846 w Korabnikach było 37 domów mieszkalnych.

Ludność wsi w większości pracowała w dworze. Powstanie chłopskie na terenach Galicji, zwane popularnie rabacją galicyjską, nie ominęło też Korabnik. Gdy nie powiódł się napad na Tarnów i ujawniła się słabość ruchu szlacheckiego, chłopci zdecydowali się uderzyć na dwory. Nie ma wprawdzie dowodów na to, że Austriacy ofiarowali chłopom od 5 do 10 reńskich za głowę szlachcica, ale faktem jest, że urzędnicy austriaccy rozdawali pieniądze tym chłopom, którzy dostarczali powiązanych i pobitych powstańców⁶.

Dziedzic dworu w Korabnikach został przez chłopów zamordowany, czego dowodem są słowa jego matki: „[...] jeszcze doczekam się czasów, że chłopska skóra będzie się wędzić w kominie [...]”⁷.

⁶ S. Kieniewicz, *Historia Polski 1795–1918*, Warszawa 1968, s. 167.

⁷ Podanie ustne.

W 1882 r. nowy właściciel rozpoczął rozbudowę dworu murowanego, którą ukończył w roku 1884. Pańszczyzna została zniesiona w Galicji w roku 1848 dekretem gubernatora Franza Stadiona⁸.

W 1884 r. Skawina otrzymała połączenie kolejowe z Krakowem. Ożywiło to znacznie życie gospodarcze w tym rejonie. Wielu chłopów z Korabnik znalazło pracę przy budowie nasypu kolejowego czy zwózce materiałów budowlanych. W latach 1888–1889 częstym gościem Korabnik był Stanisław Wyspiański.

O dwie mile od Krakowa położone są Korabniki, majątek Brudzewskich, były tą wsią polską, która czarem krajobrazu i przechowywanymi w jej dworze tradycjami przywiązała do siebie serce Wyspiańskiego na zawsze. Tu spędzał z wujostwem święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy, tu spędzał wakacje. Ciągnęła go tam szczerłość i serdeczność ludzi, kusiły zielone wieczyście nad dworem świerki, a po rabatach ogrodowych narcyze i astry, kwiaty korabnickie, kwiaty pachnące mu jak żadne inne w świecie⁹.

Będąc w Paryżu, Wyspiański tęsknił za Korabnikami. Często wspominał o nich w listach: „O Korabnikach zawsze lubię się czegoś dowiedzieć”. „Co słyhać w Korabnikach? Tutaj już jesień, liście żółte i opadłe. Mnie się wciąż zdaje, że w Korabnikach z drzew listki nie opadają, że w Korabnikach krzewy nie żółkną i tam jeszcze wiosna”.

Do wybuchu I wojny światowej we wsi nie zaszły większe zmiany. Ludność po dawnemu pracowała we dworze i wykonywała prace dorywcze. Notowano duży odsetek emigracji sezonowej, ludzie wyjeżdżali na tzw. saksy. W 1914 r. w Korabnikach było 105 domów mieszkalnych. Okres wojny minął w miarę spokojnie, jeżeli nie liczyć rekwizycji oraz zabierania ludzi i koni na potrzeby taborowe armii. Miejscem spotkań ludności wsi była karczma. W karczmie spotykano kumów i znajomych, tam też omawiano bieżące sprawy i wydarzenia. W roku 1919 rząd odebrał dworowi prawo do prowadzenia karczmy i przyznał je gminie.

Na początku XX w. powstają w Skawinie dwa zakłady produkcyjne: Fabryka Wyrobów Spożywczych „Cykoria” oraz Zakład ce-

⁸ S. Kieniewicz, dz. cyt.

⁹ „Czas” 1932, nr 273, s. 1.

ramiczny „Szamotka”¹⁰. Oba te zakłady zatrudniają część mieszkańców Korabnik, dla których zabrakło ziemi do gospodarowania. W roku 1910 zatrudnienie znalazło łącznie 320 pracowników. Ogólnie w latach 1919–1939 znikoma liczba mieszkańców wsi mogła znaleźć pracę w Skawinie. Pięć osób pracowało na kolei, 26 w skawińskich zakładach, reszta we dworze oraz u zamożniejszych gospodarzy.

Czasy II wojny światowej (1939–1945) również były względnie spokojne. W trakcie działań wojennych zniszczeniu uległo 6 budynków wiejskich.

Od 1954 r. zaczyna się dynamiczny rozwój wsi. Wiąże się on z powstaniem w Skawinie Huty Aluminium oraz Elektrowni w 1957 r. Od roku 1954 głównym zajęciem ludności Korabnik jest praca w zakładach Krakowa i Skawiny.

Osobno chciałbym omówić powstanie i rozwój szkoły podstawowej w Korabnikach. Szkoła jednoklasowa została założona w roku szkolnym 1904/1905.

Pierwotnie szkoła mieściła się w domu wójta, który odstąpił na ten cel jedną izbę. Pierwszą nauczycielką była pani Aleksandra Kurdzielówna. W innych latach nauka odbywała się w domach prywatnych. W latach 1914–1918 nauka była realizowana normalnie, ponieważ okazało się, że kierownik szkoły jest niezdolny do służby wojskowej. W roku 1915 zorganizowano szkołę dwuklasową z powodu dużej liczby dzieci. W roku 1918 zakupiono od właściciela dworu hr. Bolesława Miączyńskiego czworaki dworskie za 50 tys. marek¹¹ i tam zorganizowano szkołę składającą się z dwóch izb lekcyjnych. W latach 1921–1922 szkoła podstawowa liczyła 81 uczniów. Nowe podręczniki do nauki wprowadzono w latach 1928–1929, między innymi elementarz *Moje abecadło* Władysława Kłosińskiego. W latach 1929–1930 istniała w Korabnikach szkoła czteroklasowa. W następnych latach liczba uczniów wzrosła. W latach 1935–1936 szkoła liczyła 91 dzieci, a w latach 1938–1939 — 144 dzieci. Lata okupacji hitlerowskiej miały niekorzystny

¹⁰ Nazwy nadane zakładom przez mieszkańców wsi.

¹¹ Dane dotyczące powstania szkoły podstawowej w Korabnikach pochodzą z kroniki szkolnej, cz. I.

wpływ na proces nauczania. W zimie nauka nie była kontynuowana z powodu braku opału, a ponadto okupant zatrudniał nauczycieli do prac administracyjnych nie związanych z nauczaniem. W czasie okupacji został zniszczony szkolny sprzęt kwaterunkowy oraz pomoce szkolne. Zaraz po ustąpieniu Niemców, tj. 10 lutego 1945 r., wznowiono nauczanie. W roku 1952 szkoła liczyła nadal cztery klasy. W latach 1954–1955 szkołę powiększono o klasę piątą, uczęszczało wtedy do niej 47 dzieci. Klasę szóstą utworzono w latach 1955–1956, kadra nauczycielska liczyła wówczas trzy osoby. Klasę siódmą utworzono w roku szkolnym 1957/1958. Nauka nadal odbywała się w starej dwuizbowej szkole metodą klas łączonych. Klasę ósmą utworzono w roku 1967. Na tym okres tworzenia szkoły podstawowej zakończył się.

Obecnie Korabniki zajmują obszar 6,4 km². Składają się z Korabnik Dolnych, Korabnik Górnych oraz Szwabów. Jest tutaj 297 domów mieszkalnych, a ludność wsi liczy 1786 mieszkańców. W Korabnikach Dolnych znajduje się dwór, rozbudowany w latach 1882–1884, wraz z zabudowaniami dworskimi, położony malowniczo wśród starych świerków, dębów i modrzewi. Zabytkiem jest dom nr 4, gdzie dawniej mieściła się karczma, oraz kapliczka murowana, zbudowana w 1. połowie XIX w., prostokątna, z dachem dwuspadowym i sufitem. W środku są dwa obrazy: św. Piotra (z 1825 r.) i św. Magdaleny (z 1. połowy XIX w.)¹². We wsi znajduje się nowoczesna piętrowa szkoła, tzw. tysiąclatka, wybudowana w latach 1964–1966. Szkoła ma siedem klas lekcyjnych oraz dwie pracownie: pracownię zajęć technicznych i pracownię fizyczno-chemiczną, salę gimnastyczną oraz kuchnię. W szkole znajdują się też dwa mieszkania dla personelu nauczycielskiego. Obecnie do szkoły uczęszcza 171 dzieci. Kadra nauczycielska liczy osiem osób. We wsi jest dom ludowy z remizą strażacką, sklep GS i kiosk spożywczy. Droga łącząca Skawinę z drogą E-7 posiada nawierzchnię asfaltową. Elektryfikację wsi przeprowadzono w roku 1954. Ludność wsi pracuje w zakładach przemysłowych Krakowa i Skawiny. Ogólnie 98% mieszkańców utrzymuje się z działalności pozarolniczej.

¹² *Katalog zabytków sztuki w Polsce*, t. I: *Województwo krakowskie*, z. 6: *Powiat chrzanowski*, Ministerstwo Kultury i Sztuki, Warszawa 1954.

czej. Ziemia w Korabnikach jest rozdrobniona i znajduje się w rękach mieszkańców. Działki liczą od 0,05 ha do 1,50 ha gruntu. Z pracy na roli utrzymuje się pięciu mieszkańców. Głównymi uprawami są: żyto, kartofle, warzywa i owoce.

Korabniki trudno jest jednoznacznie zaliczyć do wsi. Posiadają one wiele cech przedmieścia. Zabudowa wsi coraz bardziej upodabnia się do zabudowy podmiejskiej. Domy w Korabnikach są domami jednorodzinnymi, nierzadko piętrowymi. Część z nich wyposażona jest we własny dopływ wody bieżącej, łazienki, kanalizację. We wsi znajduje się tylko sześć domów mieszkalnych krytych strzechą. Występują tutaj takie zjawiska socjologiczne jak: zanik więzi sąsiedzkich, deprecjacja społecznego znaczenia rodziny i nadwątlenie autorytetu opartego na tradycji. Kontrola społeczna jest mało rygorystyczna¹³. Mieszkańcy Korabnik, którzy na co dzień pracują w zakładach w mieście, spotykają się z innymi grupami społecznymi i ze zdobycami nauki i techniki. Nie występuje więc izolacja, co jest jedną z domen wsi. Społeczność Korabnik nie posiada „zmysłu solidarności grupowej”¹⁴.

Na podstawie powyższego widzimy, że Korabniki nie są typową wsią. Są raczej przedmieściem Skawiny. Z powodu rozwijającego się przemysłu takim i podobnym procesom podlegają setki wsi w Polsce, szczególnie te położone w pobliżu miast. Poziom wykształcenia jest wysoki i nadal rośnie. Obecnie we wsi jest dwóch mieszkańców, którzy nie potrafią pisać i czytać. Około 15% posiada niepełne wykształcenie podstawowe, są to ludzie starsi, którym warunki nie pozwoliły ukończyć szkoły. Około 40% posiada wykształcenie zawodowe, 10% średnie i 5% wyższe. Mieszkańcy Korabnik ciągle się doksztalcają i podnoszą swoje kwalifikacje zawodowe.

Teraz chciałbym przedstawić moją wizję futurologiczną Korabnik. W większości opiera się ona na planach rozwojowych Skawiny oraz realiach dnia dzisiejszego. Z dniem 1 stycznia 1973 r. planowane jest administracyjne włączenie Korabnik do Skawiny. Odbędzie się to w ramach reorganizacji administracji państwowej. Lud-

¹³ J. Szczepański, *Elementarne pojęcia socjologii*, wyd. 1, Warszawa 1966.

¹⁴ Tamże.

ność nader niechętnie odnosi się do tego projektu, ponieważ w razie przyłączenia do Skawiny na terenie Korabnik będą lokalizowane osiedla mieszkaniowe Skawiny.

Zostanie zabrana ziemia pod te osiedla, a kwoty wypłacane za grunty przez administrację będą bardzo niskie. Bloki mieszkalne mają być zlokalizowane w dwóch wielkich kompleksach: w Korabnikach Dolnych, wzdłuż drogi Skawina–Mogilany, oraz w Korabnikach Górnych, wzdłuż drogi Skawina–Libertów. Osiedla te rozmieszczone będą na wschód od Skawiny, ponieważ po zachodniej stronie znajduje się Huta Aluminium i Elektrownia. W całej Polsce obserwuje się tendencję do budowy domków jednorodzinnych. W Korabnikach są działki budowlane, które będzie można odstąpić chętnym do budowy mieszkańcom Skawiny.

Atutem Korabnik jest dogodne położenie blisko Skawiny i dobry dojazd do miasta. Korabniki posiadają też tereny pod ogródki działkowe, niezbędne przy tak planowanym rozwoju budownictwa mieszkaniowego. Konieczny jest także pas zieleni izolacyjnej ciągnący się z północy na południe, który ograniczałby negatywne skutki oddziaływania Huty Aluminium i Elektrowni. Przez Korabniki będzie niedługo kursował autobus do Krakowa. Obecnie Skawina posiada połączenie kolejowe i autobusowe z Krakowem. Z powodu dużej liczby ludności konieczne jest stworzenie jeszcze jednej linii autobusowej na trasie Skawina–Kraków, przez Korabniki i Libertów, z jednoczesnym zwiększeniem częstotliwości kursów w godzinach rannych i popołudniowych. Wraz z rozbudową osiedli mieszkaniowych musi powstać w Korabnikach sieć sklepów wielobranżowych i punktów usługowych. Skawina musi także w najbliższym czasie wygospodarować tereny rekreacyjno-wypoczynkowe. Miasto liczy w chwili obecnej 21 tys. mieszkańców, a terenów zielonych brakuje. Na zachód od miasta znajdują się zakłady produkcyjne, rzeka Skawinka na wysokości miejscowości Rzozów jest zatruta. Park miejski jest za mały, aby mógł zapewnić dobry wypoczynek. Jedynym terenem w pobliżu miasta, z dobrym dojazdem, są Korabniki. Las, woda oraz stary park przy dworze pozwalają na wypoczynek i relaks. Obecnie pomimo braku jakiegokolwiek zabezpieczenia ze strony ojców miasta widzi się tłumy, które wybierają się w pogodne dni na spacer do lasu. Pod lasem zatrzymują się dziesiątki

samochodów. Aby zapewnić ludziom pracy kulturalny wypoczynek, trzeba by dużo zainwestować w remont dworu. Konieczne jest odnowienie budynku dworskiego, stworzenie tam pawilonu gastronomicznego oraz sali widowiskowej. Niezbędny jest parking dla pojazdów mechanicznych, boisko sportowe i duży basen kąpielowy. W Skawinie liczącej 21 tys. mieszkańców jest jeden basen o wymiarach 10 × 20 m. Jest to obiekt niewystarczający i konieczne jest zbudowanie większego basenu. Najbardziej odpowiednim miejscem jest teren obok dworu w Korabnikach. Huta Aluminium prowadzi pertraktacje z właścicielką dworu i z chwilą zakupu posiadłości powstanie tu duży ośrodek wypoczynkowy.

Po włączeniu Korabnik do Skawiny szkoła podstawowa w Korabnikach otrzyma prawa szkoły miejskiej i będzie Szkołą Podstawową nr 4 w Skawinie. Z tą zmianą wiązą się liczne udogodnienia, m.in. więcej kadry nauczycielskiej, więcej szkoleń, pomocy dydaktycznych, a co za tym idzie lepsze wyniki nauczania. Roczny budżet szkoły wynosi w chwili obecnej 4 tys., jako szkoła miejska otrzyma ona około 20 tys. rocznie. Liczba dzieci uczęszczających do szkoły w Korabnikach spada z roku na rok: w roku szkolnym 1970/1971 było 193 dzieci, w roku szkolnym 1971/1972 — 183 dzieci, a obecnie jest 171 dzieci. Po włączeniu Korabnik do Skawiny realnym będzie ściągnięcie około 70 dzieci, które dotychczas uczęszczają do szkół w Skawinie, a tym samym utrzymanie jednego etatu nauczycielskiego, który ma być zabrany z powodu małej liczby dzieci. W roku 1973 rozpocznie się budowa boiska szkolnego oraz tworzenie pracowni technicznych. Po włączeniu Korabnik do Skawiny OSP Korabniki zostanie podporządkowana OSP Skawina, otrzyma samochód i inny sprzęt przeciwpożarowy. Należy również zwrócić uwagę, że podnosi się poziom wykształcenia ludności wsi. Stanowiska przez nich zajmowane są coraz bardziej odpowiedzialne i lepiej płatne. Rosną dochody ludności, poprawiają się warunki życia. Od kurnych chat pozbawionych podłóg i elementarnych wygód społeczeństwo wsi przeszło do ładnych wygodnych domków jednorodzinnych mających dostęp do wody bieżącej.

Osiągnięto to w ciągu 28 lat pracy. Kolejnym zadaniem jest wyposażenie wszystkich domów w podobne urządzenia oraz doprowadzenie gazu (rurociąg gazowy przebiega przez Korabniki).

Widzę moją wieś jako dzielnicę Skawiny, dzielnicę domków jednorodzinnych, wielkie osiedle mieszkaniowe miasta, miejsce wypoczynku dla mieszkańców Skawiny. Stefan Żeromski ustami Seweryna Baryki marzył o Polsce szklanych domów, a jego marzenia urzeczywistniły się w okresie Polski Ludowej. W niedalekiej przyszłości każdy mieszkaniec otrzyma wygodne mieszkanie oraz własny środek lokomocji. Marzenia wielu pokoleń o Polsce wolnej i bogatej spełniły się.

Należy jednak pamiętać o negatywnych skutkach rozwoju przemysłu i bogacenia się społeczeństwa, a mianowicie o zanieczyszczeniu środowiska naturalnego. Problem, o którym zapomniano przy budowie nowoczesnego przemysłu, nabrzmiewa coraz bardziej. Skawina jest tym miastem w świecie, które zajmuje jedno z pierwszych miejsc pod względem zapylenia powietrza i zanieczyszczenia gleby. Dodatkowym czynnikiem działającym na niekorzyść jest to, że leży ona w kotlinie i dymy ciągle wiszą nad miastem.

Najbardziej szkodzącymi środowisku zakładami są Huta Aluminium i Elektrownia. Huta Aluminium zatruwa rzekę Skawinkę pochodnymi fenolu. Powoduje to zanieczyszczenie fauny i flory. Ryby początkowo masowo zdychały, obecnie uodporniły się, ale nie nadają się do spożycia. Rzeka przypomina brudny ściek, nigdy nie zamarza w zimie, ponieważ Elektrownia wpuszcza do niej gorącą wodę powstałą przy chłodzeniu turbin. Powietrze zatruwane jest przez związki fluoru wyrzucanego z kominów Huty Aluminium. Pracownicy Huty pracujący bezpośrednio przy produkcji zapadają na zespół chorób o nazwie ABE¹⁵, tj. astmę, bronchit, emphysemę, oraz chorobę zawodową zwaną fluoryzą, która powoduje wysychanie mazi stawowej, a w konsekwencji nawet niedowład nóg.

Z kominów Elektrowni wydobywają się związki siarki, które zanieczyszczają całą okolicę. Pracownicy zapadają na choroby zawodowe, a środowisko (ziemia, woda i powietrze) jest skażone. W promieniu 6 km nie jest możliwa hodowla pszczół, zdychają one z powodu zatrucia kwiatów i roślin. W związku z tym sadownictwo nie rozwija się prawidłowo. Na fluoryzę zapada też bydło rogate i z tego powodu cierpi rozwój jego pogłowia. Wszystkie zakłady

¹⁵ A. Teneta, *Cel: potrzeby człowieka*, „Dziennik Polski” 1972, nr 270, s. 3.

przemysłowe Skawiny wyrzucają corocznie do atmosfery 105 tys. ton pyłów o różnej mocy toksycznej. Jeżeli chodzi o zanieczyszczenie powietrza, Skawina zajmuje pierwsze miejsce w Polsce. Nie wystarczy stworzyć ludziom warunki do pracy, trzeba także chronić ich od chorób zawodowych, kalectwa i śmierci. Jest to wielki problem, który oczekuje rozwiązania. Skawińskie zakłady przemysłowe nie mogą zatruwać środowiska w tym stopniu, co obecnie, grozi to bowiem skażeniem przyrody i ma negatywny wpływ na zdrowie ludzi. Społeczeństwo nie zyska, jeżeli jego obywatele będą wątłego zdrowia i będą zapadać na różne choroby. Dlatego też pierwszym, najważniejszym zadaniem jest zainstalowanie w Hucie i Elektrowni urządzeń odpylających. Przyroda oraz ludzie w Skawinie i okolicy znajdują się w stanie zagrożenia. Skawina jako miasto o czystym powietrzu jest moją wizją futurologiczną i marzeniem wszystkich mieszkańców.

Korabniki, dnia 11.11.1972 r.

*Uniwersytet Jagielloński
Zaoczny Wydział Pedagogiki Pozaszkolnej
Stanisław Niedbała
rok II*

BIBLIOGRAFIA

1. *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. IV, Warszawa 1883.
2. S. B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. II: G–L, Lwów 1855.
3. Stefan Kieniewicz, *Historia Polski 1795–1918*, Warszawa 1968.
4. „Czas” 1932, nr 273.
5. Kronika szkolna Szkoły Podstawowej w Korabnikach cz. I.
6. *Katalog zabytków sztuki w Polsce. Tom I: Województwo krakowskie*, z. 6, Warszawa 1954.
7. Jan Szczepański, *Elementarne pojęcia socjologii*, wyd. I. Warszawa 1966.
8. Ulotka zlotu krajoznawczego PTTK im. Stanisława Wyspiańskiego, Korabniki 27.IV.1969.
9. „Dziennik Polski” 1972, nr 270.

Krystyna Kolstrung-Grajny

„I TAM SĄ LUDZIE — I TAM MAJĄ DUSZĘ”. KILKA WSPOMNIENÍ O DOBRYCH NIEMCACH

Słowa w tytule zaczerpnęłam z hymnu Juliusza Słowackiego: *Bogarodzico, Dziewico! Słuchaj nas, Matko Boża*¹. Autor napisał je na emigracji, będąc daleko od stron rodzinnych, gdy Polska zniknęła z mapy Europy, a naród cierpiał pod butem dwugłowego orła moskiewskiego i wołał z nadzieją:

Niech grzmia wolności śpiewy
wstrzęsną się Moskwy Wieże
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy
I tam są ludzie — i tam mają duszę.

Słowacki wierzył, że wołanie o wolność ma wielką moc i usłyszą je nawet w gnieździe najgorszego wroga, bo wszędzie znajdą się ludzie, którzy chcą pokoju, bezpieczeństwa, przyjaźni i sprawiedliwości.

Bogu dzięki dziś nasza ojczyzna jest wolna, poważana przez wiele narodów i jeszcze bezpieczna. Cieszymy się więc tym, co mamy, nie zazdrościmy innym, że mają lepiej, i pomagamy tym, którzy mają gorzej. Nie szukajmy wroga tam, gdzie go nie ma, i pamiętajmy, że „fortuna na pstrym koniu jeździ”. Niestety, w Polsce nie brakuje ludzi, którzy ciągle muszą mieć jakiegoś wroga, którego można obwinić za wszelkie niepokoje, zagrożenia i niepowodzenia. Słusznie nie cierpimy Putina i jego popleczników, bo są największym zagrożeniem dla świata. Są tacy, co nie lubią Niemców, bo to przecież „nasz odwieczny wróg”. Inni nie lubią Ukraińców i imigrantów, bo jest ich za dużo i dużo nas kosztują. Nawet Anglia po *brexicie* nie cieszy się sympatią tych, którzy musieli zostawić

¹ J. Słowacki, *Wiersze i poematy (wybór)*, seria: Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej, pod red. Juliana Krzyżanowskiego, Państwowy Instytut Wydawniczy, Wrocław 1959.

dobrą pracę i wracać do kraju. Każdy chyba Polak ma własne doświadczenia i wiedzę lub niewiedzę oraz przemyślenia, na podstawie których buduje swój stosunek do cudzoziemców.

Ja uważam, że nie ma złych i dobrych państw ani złych i dobrych narodów. Są tylko źli i dobrzy ludzie. I wierzę — tak jak napisał Juliusz Słowacki — że „i tam są ludzie — i tam mają duszę”, i że „ludzi dobrej woli jest więcej” — jak śpiewał Czesław Niemen.

W tym miejscu chcę się podzielić swoimi refleksjami na temat Niemców. Nie dlatego, żebym chciała ich jakoś wyróżnić, lecz dlatego, że moja mama i teściowa podzieliły się ze mną swoimi wspomnieniami o „dobrych Niemcach” z czasów wojny i okupacji. Pierwszą historię o dobrym żołnierzu niemieckim Gerardzie opowiedziała nam mama jeszcze w szkole podstawowej i na zawsze zapamiętałam, że nie wszyscy żołnierze biorący udział w wojnie byli źli i dyszeli żądzą zabijania.

Było to na początku okupacji, kiedy wojsko niemieckie zajęło Skawinę i potrzebne były mieszkania dla żołnierzy i urzędników. Okupanci bez pardonu zabierali Polakom mieszkania i całe domy, a żołnierzy dokwaterowywali do polskich rodzin. To też przytrafiło się moim dziadkom — Agnieszce i Hieronimowi Sikorskim. Mieszkali oni blisko rynku, w małej piętrowej kamienicze ze sklepem rzeźniczym na parterze. Chociaż w domu wraz z rodzicami mieszkwały trzy kilkunastoletnie córki, okupanci przysłali na kwaterę dwóch niemieckich żołnierzy. Babcia musiała im udostępnić duże małżeńskie łóżko w kuchni, a cała rodzina przeniosła się do jednego pokoju obok.

Babcia Agnieszka była osobą surową, ale i odważną. Zabroniła żołnierzom zapraszać do domu kompanów, zakazała palenia tytoniu i wymagała od nich utrzymywania porządku w swoich rzeczach. Na szczęście byli to całkiem młodzi chłopcy ze zwyczajnych niemieckich rodzin i czuli przed babcią respekt. Nie mieli też wiele wolnego czasu, bo służyli w oddziale łączności i całymi dniami uganiaли się z przewodami i kablami telefonicznymi po polach i lasach. Bywało, że wracali dopiero wieczorem utyłani w błocie. Stołowali się w kuchni żołnierskiej, ale często byli głodni i babcia zostawiała dla nich zupę na kolację. Babcia surowo nakazała dziewczętom unikania wszelkich kontaktów towarzyskich z niemieckimi

żołnierzami. Starszy żołnierz dość szybko zniechęcił się do babcinych surowych zasad i przeniósł się do kolegów na inną kwaterę. Młodszy o imieniu Gerard został u dziadków i okazywał rodzicom mamy szacunek. Próbował nawet zwracać się do babci zdrobniale „Muti”, lecz dziewczęta, słysząc to, protestowały, że to jest ich, a nie jego mama. Na początku okupacji często dostawał listy z domu i pokazywał je babci. Opowiadał też o swojej rodzinie i o swojej babci, którą bardzo kochał i za którą tęsknił. Gerard rozumiał trochę język polski, bo rodzina mieszkała na pograniczu i miała kontakty z Polakami. Z kolei dwie córki dziadka uczyły się już w gimnazjum niemieckiego. Wieczorami lubił rozmawiać z dziadkiem Hieronimem, który również nauczył się sporo niemieckiego, gdyż w czasie I wojny światowej w 1917 r. został zmobilizowany do wojska austriackiego i walczył na froncie włoskim. Gerard dostawał też paczki żywnościowe, a w nich konserwy, herbatę, czekolady i inne niedostępne dla Polaków artykuły. Bardzo chciał dzielić się z rodziną mamy, ale babcia i dziadek nie zgadzali się na to. Dziadek był rzeźnikiem i masarzem, więc rodzina nie cierpiała głodu, a i uboższym krewnym pomagał. Szczególnie bogatą paczkę Gerard otrzymał na Boże Narodzenie i koniecznie chciał dać pod choinkę czekolady, lecz mama i jej siostry solidarnie powiedziały, że w czasie wojny, gdy Polacy głodują i umierają przez Niemców, przyjęcie i skosztowanie szwabskiej czekolady byłoby hańbą. Gerardowi było wstyd, że jest Niemcem, i było mu żal Polaków. Bardzo chciał, żeby wojna się skończyła i mógł wrócić do domu. Miał szczęście, że jego służba w łączności nie wymagała użycia broni i nie miał jeszcze na sumieniu śmierci żadnego Polaka.

Przyszły i dla Gerarda gorsze czasy. W zimie często wracał po służbie w przemoczonym mundurze, a z kuchni niemieckiej przynosił tylko zimne gotowane ziemniaki. Babcia brała te ziemniaki dla kur, a jemu dawała gorący posiłek. Czasem rozpalala w kuchennym piecu, aby mógł na przypiecku wysuszyć buty i odzież. Pewnego dnia, szczególnie śnieżnego i mokrego, Gerard wrócił ze służby głodny, przemoczony i przemarznięty. Babcia Agnieszka zaczęła strasznie psioczyć na całą tę wojnę i na Hitlera, przez którego tyle ludzi strasznie i niezasłużenie cierpi. W końcu zwróciła się do żołnierza słowami: „Ej ty, Gerard! Jacy wy głupi!

Przecież i wy macie dość tej wojny. A zabilibyście tego Hitlera i wrócili do domu. Macie przecież karabiny, granaty, bomby. Bylebyście się dogadali między sobą, jak to zrobić”. Gerard był tak zaskoczony wybuchem babci, że siedział chwilę oniemiały, a potem przestraszonym głosem powiedział: „Muti! Nie można nawet o tym myśleć, a co dopiero mówić. Gdyby któryś Niemiec to usłyszał i doniósł, pozabijaliby was wszystkich po kolei. Ja nic nie mogę zrobić, ja nie mogę wam w oczy spojrzeć, nie mogę już tu zostać. Nie chcę, żeby wam się stała jakaś krzywda”. I rzeczywiście gdy tylko podeszła mu odzież, pozbierał swoje rzeczy. Nic więcej już nie mówił tylko ze łzami w oczach ucałował babcię w ręce i poszedł. Nie wiadomo, jak potoczyły się jego losy, ale mama mówiła o nim „Gerard, dobry Niemiec”.

Zupełnie inna była historia mamy mojego męża, a mojej teściowej — babci Marysi z domu Krzywickiej. Urodziła się w Ukrainie, w wiosce Łanok koło Starego Konstantynowa, w woj. Chmielnik (Chmielnickaja Obłast). Jej ojciec Ludwik Krzywicki był leśniczym i mieszkali w leśniczówce. Byli jedną z wielu polskich rodzin żyjących przed wojną pospół z Ukraińcami. Maria ukończyła szkołę podstawową z polskim językiem wykładowym i zaczęła pierwszą klasę liceum, ale z językiem rosyjskim. Jej dalszą edukację przerwała wojna. 22 czerwca 1941 r. Hitler rozpoczął inwazję na Rosję pod kryptonimem „Barbarossa” i Wehrmacht wkroczył na ziemie Ukrainy. Gdy wojska niemieckie dotarły do Starego Konstantynowa, rodzina babci Marysi została wyrzucona z leśniczówki i tułała się jakiś czas po wynajętych pokojach bez środków do życia. Ojciec Ludwik odmówił wstąpienia do kołchozu i aby utrzymać żonę Marcelinę oraz córki Marię i Stanisławę, chwycił się rozmaitych zajęć. Maria, która rozpoczęła 17 rok życia, chcąc ulżyć rodzinie, zdecydowała się na wyjazd na roboty przymusowe do Niemiec. Po długiej, koszmarniej podróży trafiła do Stuttgartu w południowo-zachodnich Niemczech. Tam skierowano ją do pobliskiej wsi, do dużego gospodarstwa niemieckiego bauera, który miał żonę, zamężną córkę z małym dzieckiem i syna, który był na wojnie. Mąż córki też chyba był na wojnie. Gospodarz miał na nazwisko Gutenbrot, co po polsku znaczy „dobry chleb”. Gospodarz przydzielił młodą Polkę do pomocy we wszystkich pracach na roli i przy krowach. Marysia, a babcia moich dzieci, była

wtedy niedużą, ale silną dziewczyną przyzwyczajoną do pracy w domu i w przydomowym gospodarstwie. Była też odważna i swój los przyjęła bez dramatyzowania, a raczej z nadzieją, że jakoś to będzie. Bardzo martwiła się natomiast o los rodziny pozostałej na Ukrainie, gdzie toczyła się wojna.

Gospodarze okazali się spokojnymi i pracowitymi ludźmi. Cieszyli się, że dostali darmową siłę roboczą, ale nie okazywali żadnej wrogości czy pogardy. Marysi przydzielono w domu małą komórkę z łóżkiem i pościelą oraz miejscem do mycia. Bauer bardzo szybko przekonał się, że Marysia, choć niezbyt rośła, jest bardzo sprytna i w mig uczy się pracy na roli i w gospodarstwie. Nie bała się koni i potrafiła orać konnym pługiem. Starannie opiekowała się bydłem, a nawet nauczyła się kosić. Gospodarz wyraźnie polubił Marysię i w pewnym sensie ją wyróżniał. Któregoś dnia gospodyni szykowała jak zwykle śniadanie. Dla męża przygotowała miche jajeczniczy na boczku i grube pajdy chleba z masłem, obok dla siebie i córki nieco skromniejsze jedzenie, a na końcu dla Marysi na roboczym osobnym stoliku. Gdy przyszedł gospodarz, pomodlił się z rodziną, spojrzał na stół i powiedział: „od dziś Marysia będzie jadła przy wspólnym stole i będzie jadła to, co ja, bo pracuje tak samo ciężko jak ja”. I polecił jej podać również jajecnicę. Babcia Marysia opowiadała po wojnie, że nigdy nie doznała od bauera krzywdy ani przykrości. Był wymagający, ale miał na uwadze jej siły i możliwości. W jego przypadku nazwisko Gutenbrot, czyli „dobry chleb”, mówiło prawdę. Gospodyni i jej córka również traktowały ją dobrze. Marysia nie tylko potrafiła dobrze pracować, ale znalazła czas, żeby w ciągu pół roku nauczyć się mówić, czytać i pisać po niemiecku. Gospodarz tak lubił Marię, że chciał, aby po powrocie syna z wojny została jego synową. Niestety syn gospodarza zginął na wojnie w wieku 20 lat. Babcia Marysia do końca wojny pracowała w tym gospodarstwie, a przed końcem poznała przyszłego męża Józefa Grajnego, który pracował jakiś czas w sąsiedniej wiosce też u bauera.

Józef Grajny pochodził ze wsi Stryszów niedaleko Kalwarii Zebrzydowskiej. W 1939 r. jako szeregowy żołnierz walczył w kampanii wrześniowej pod Krzeszowicami i tam dostał się do niewoli niemieckiej. Stamtąd jeńców zwartą kolumną pognali do Krakowa

na dworzec kolejowy, gdzie czekał już wojskowy pociąg mający ich wywieźć do stalagu w Niemczech. Niewiele brakowało, a Józef mógł się uratować z niewoli. Na sąsiednim torze stał bowiem pociąg cywilny, do którego pchał się tłum ludzi przechodzących obok kolumny jeńców. Józef wypatrzył tam kobietę z sąsiedniej wsi i wmieszał się w tłum. Poprosił, aby okryła go swoją dużą, kraciatą chustą, by mógł w tym przebraniu wskoczyć do cywilnego pociągu, który miał zaraz odjechać. Kobieta nie zgodziła się i Józef pojechał z jeńcami do stalagu koło Stuttgartu. W obozie tym panowały bardzo ciężkie warunki, a najbardziej doskwierał głód. Dziadek Józef wspominał, że jedli trawę i odpadki znalezione na kompoście. Raz nawet dziadek Józef z kolegą znaleźli końską nogę z kopytem. Oskrobali ją z sierści i brudu i długo gotowali. Była to dla nich uczta, bo w zupie pływało kilka oczek tłuszczu, a po rozłupaniu kamieniem kości wydłubali trochę pożywnego szpiku i długo żuli twarde ścięgna i skórę. Dziadek miał dość głodowania. Wkrótce władze stalagu ogłosiły, że kto chce, może zrezygnować z praw jeńca wojennego i zgłosić się dobrowolnie do pracy jako robotnik przymusowy Rzeszy Niemieckiej. Dziadek Józef przymuszony głodem razem z kolegą zgłosił się i tak obaj trafili do pracy na roli u bauera, gdzie przyzwoicie traktowali robotników z Polski. Potem ktoś z urzędu pracy przypadkowo dowiedział się, że Józef Grajny jest szewcem i ściągnięto go do Stuttgartu. Tam w dobrych warunkach naprawiał wojskowe buty. Był ceniony za solidną robotę. Znalazł nawet czas, by zrobić porządne skórkowe buty dla swojej mamy, i wysłał je do Polski. Miał też sporo swobody i mógł od czasu do czasu odwiedzać swoją Marysię. W tym czasie przymusowi robotnicy mogli się nie tylko odwiedzać, ale też spotykać się wspólnie w większej grupie, pomagać sobie i planować przyszłość.

Babcia zawsze dobrze wspominała swoich niemieckich gospodarzy, ale wojna i wyjazd do Niemiec sprawiły, że już nigdy nie zobaczyła matki i ojca, a na spotkanie z siostrą i krewniakami, którzy przeżyli wojnę, czekała długie lata. Również tam, w Niemczech przeżyła chyba najbardziej dramatyczne chwile, które mogły zdruzgotać jej życie lub zakończyć się śmiercią. Miało to miejsce w ostatnich tygodniach wojny, kiedy Wielka Koalicja wyzwalała Europę i wkroczyła już do Niemiec. Do miejscowości, w której

pracowała babcia Marysia, wkroczył oddział amerykańskich żołnierzy, wyzwolicieli, którzy wzięli do niewoli resztki wojsk niemieckich. Po skończonych działaniach zbrojnych dowództwo fetowało zwycięstwo w Stuttgarcie, a żołnierzy rozlokowano we wsi. Na nieszczęście okazało się, że byli to czarnoskórzy żołnierze, którzy zaczęli płądrować domostwa w poszukiwaniu trunków. Kiedy dorwali się do piwa i wina, zaczęła się orgia pijaństwa, a potem polowanie na kobiety i młode dziewczęta. Były one bezbronne wobec uzbrojonych żołnierzy, którzy brutalnie wydzielali je z rąk broniących ich ojców, mężów i braci. Te, którym wcześniej udało się schronić w kościele, lub te, które uciekły do lasu, ocalały. Większość została brutalnie zgwałcona. Gwałciciele nie zważali nawet na to, czy była to nieletnia dziewczyna, młoda kobieta czy staruszka.

Nad rodziną bauera i babcią Marysią chyba niebo czuwało, bo żadnej kobiecie nie stała się krzywda. Ich dom był blisko kościoła i plebanii, ale na uboczu wsi. Gospodarz i ksiądz w porę zorientowali się, czym grozi kobietom obecność pijanych żołnierzy. Cała rodzina bauera wraz z Marysią schroniła się w solidnym budynku plebanii z ogrodzeniem i żelazną bramą. Modląc się, czekali na ratunek. Wczesnym świtem we wsi ucichło. Ksiądz i bauer wyszli na zewnątrz i nasłuchiwali, ale wokoło była cisza i nie widać było nigdzie poruszających się postaci. Dostrzegli tylko w sadzie i między budynkami gospodarczymi śpiących żołdaków. Po chwili doleciało do nich ciche porykiwanie krów z pobliskiej obory. Gdy wrócili na plebanie, małe dziecko zaczęło płakać, domagając się jedzenia. Gospodarze zdali sobie sprawę, że łąda moment nienapojone i niewydojone krowy mogą pobudzić muczeniem gwałcicieli. Trzeba było je obrządzić póki była cisza. Wszyscy popatrzyli na Marysię. Uznano, że nieduża, sprytna i odważna Polka potrafi niezauważalnie przemknąć się do stajni, odkręcić kran doprowadzający wodę do poidel i wydoić pierwszą z brzegu krowę. Babcia Marysia też zdała sobie sprawę, że na niej ciąży ten obowiązek. Przeżegnała się i pobiegła do krów. Dla babci było to jak wyprawa do jaskini smoka. Wpadła cała drżąca do środka, odkręciła kran i zaczęła doić krowę. Krowy ucichły, czując obecność Marysi, i cierpliwie czekały na obrządek. Dochodził tylko szelest deptanej słomy i ciche ciurkanie mleka. Gdy Marysia skończyła doić, ode-

tchnęła z ulgą, dziękując Bogu. Kiedy wstawiała, nagle w otwartych drzwiach ujrzała czarną sylwetkę żołnierza. Nogi jej się ugięły, wiaderko wypadło z ręki. Rzuciła się między krowy, szukając za ich grzbietami ratunku, a czarnoskóry żołnierz, kiwając się niepewnie, wszedł do środka. Marysia cofnęła się aż pod ścianę stajni i wy-czuła za plecami, na wysokości pasa, rurkę doprowadzającą wodę do każdego koryta. Tymczasem żołnierz doszedł do wydojonej krowy i dostrzegł wiaderko. Podniósł je i żłopał mleko, rozlewając częściowo na siebie. Przez moment nie widział Marysi i ta prę-dziutko za krowami przesuwiała się w kierunku drzwi, ale zdążyła dotrzeć tylko do rogu stajni. Była tam gruba pionowa rura wychodząca na zewnątrz do zbiornika z wodą. Pomiedzy rurą a rogiem stajni było na tyle miejsca, że babcia Marysia wcisnęła się tam z nadzieją, że żołnierz jej nie dostrzeże. Ale zobaczył, bo za-niepokozone krowy obracały się w jej kierunku. Przepchał się do niej i stanął przed rurą, ziejąc odorem alkoholu i błyskając białka-mi oczu. Serce jej tłukło się jak oszalone, a przez głowę przelaty-wały strzępki myśli o rodzinie, której już pewnie nie zobaczy, o Józefie, który miał być jej mężem. Wypełniał ją przeogromny strach przed krzywdą, jakiej mogła doznać ze strony potwora. Próbował dotknąć jej twarzy, lecz odwracała głowę do ściany. Rękami z całych sił obejmowała rurę, a nogami w roboczych bu-tach z grubą podeszwą kopąa go, gdzie dosięgła. Przerażenie i gniew dodawały jej sił. Kasała zębami paluchy próbujące ją macać. Nie krzyczała, bo wiedziała, że na plebanii jej nie usłyszą, a mogą się zbudzić inni żołnierze. W końcu nie miała już siły bronić się i zaczęła na głos modlić się po polsku, powtarzając zdrowaśki. Modliła się tak żarliwie i z taką mocą jak nigdy wcześniej. Po chwili czarnoskóry żołnierz opuścił ręce i tylko patrzył na nią, i słuchał, i jakby zmalął. Potem odwrócił się i powoli wyszedł ze stajni. Skierował się w stronę sadu. Babcia Marysia dalej modliła się, dziękując Bogu, a jednocześnie pomyślała, że ten czarnoskóry żołnierz poznał, że to była modlitwa, i może kiedyś też ją odma-wiał. Nie miała już siły na nic, więc tylko przytomnie zamknęła dopływ wody, która napełniła koryta, i ostrożnie wyszła ze stajni.

Znowu było cicho, ale Marysia nie skierowała się do plebanii tylko pobiegła do domu, bo był bliżej. Na szczęście dom był zamknięty

tylko na skobel. W środku nie było śladu obcych, ale babcia Marysia bała się zostać w mieszkaniu. Weszła na strych. Znajdowały się tam saszki, kufry i stare graty. Marysia, szukając jakiejś kryjówki, zauważyła dużą szafę, a w niej dwa wielkie pudła wypełnione kapeluszymi należącymi do gospodyni, z wielkimi rondami, przystrojone wstążkami, kwiatami i piórami. Babcia przełożyła część kapeluszy z jednego pudła do drugiego, a potem skuliła się pod resztą kapeluszy i przykryła pokrywą. Siedziała cichutko. Ogarnął ją ogromny żal. Myślała o tym, że oto całą wojnę żyła w Niemczech, w kraju wroga, którego wojska zajęły jej ojczyznę, w kraju, który wyrwał ją z domu rodzinnego, wśród rodzin, których synowie, bracia, mężowie toczyli tę wojnę, i nie spotkała jej dotąd żadna krzywda. I właśnie teraz, kiedy razem z Józefem oczekiwali, że przyjdą wojska Wielkiej Koalicji, pokonają Hitlera i przyniosą wolność, to okazało się, że owi „wyzwoliciele” są największym zagrożeniem, z jakim się w życiu spotkała. Nawet teraz, siedząc w pudle pod kapeluszymi, nie wiedziała, czy jest bezpieczna. Siedziała tam chyba dość długo, aż z odrętwienia wyrwał ją odgłos kroków. Serce rozdygotało się na nowo, gdyż schody na strych zaczęły trzeszczeć. Przestała oddychać i wtedy usłyszała cichy głos gospodarza powtarzający: „Marysiu, nie bój się, to ja. Gdzie jesteś?”. Ze szczęścia i wyczerpania łzy znowu popłynęły jej po policzkach. Była uratowana.

Gdy nastał dzień, do wsi powrócili wyżsi dowódcy rozlokowanego oddziału, którzy nocowali w pobliskim Stuttgarcie. Gdy usłyszeli i zobaczyli, co się stało, aresztowali wszystkich żołnierzy. Powiedzieli, że staną oni przed sądem wojennym i zostaną ukarani. Babcia nie wiedziała, jaki wydano na nich wyrok, ale później, kiedy opuściła Niemcy, dowiedziała się z listu od gospodyni, że krzywda i cierpienie wielu zgwałconych kobiet zostały dodatkowo przypieczętowane niechcianą ciążą.

Wkrótce wojna się skończyła, przymusowi robotnicy III Rzeszy odzyskali wolność. Józef chciał jak najszybciej wywieźć ukochaną Marysię z miejsca, gdzie przeżyła koszmar. Na razie jednak wszystkich przymusowych robotników zgrupowano w specjalnych Miejscach Rozlokowania. Tam otrzymali pomoc medyczną, żywność i mieli czekać na organizację transportu, który miał umożliwić im powrót do krajów ojczystych lub do wybranego przez nich miejsca.

Maria Krzywicka i Józef Grajny, aby być razem (kobiety i mężczyźni mieszkali w osobnych miejscach), postanowili wziąć ślub w Stuttgarcie i wrócić do Polski jako mąż i żona. Gospodarze okazywali świeżo poślubionej Marii Grajnej wiele życzliwości i przygotowali dla niej wyprawkę na nowe życie, ofiarowując poduszki, pierzyny i pościel, co było wówczas cennym darem.

Po powrocie do Polski młodzi zamieszkali w rodzinnej wiosce Józefa w Stryzowie, położonym między Kalwarią Zebrzydowską a Suchą Beskidzką. Babcia Marysia nadal nie wiedziała, co się stało z jej rodziną, czy przeżyli wojnę i gdzie mieszkają, chociaż jeszcze w obozie dla wyzwolonych robotników rozpoczęła poszukiwania swoich najbliższych przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż.

Babcia nadal utrzymywała listowny kontakt z niemiecką rodziną, która również później, w czasach stanu wojennego wspierała bogatymi paczkami żywnościowymi jej rodzinę w Polsce. Jednak najważniejszą dla niej sprawą było nawiązanie kontaktów z rodziną zza Bugu. Dopiero w 1956 r. za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża dostała list od swojej młodszej siostry Stanisławy i nawiązała korespondencję z żyjącymi członkami rodziny. W kolejnych listach siostry opowiadały sobie nieznane fakty z życia rozdzielonej granicą rodziny. Dopiero w 1977 r. przedstawiciele trzech pokoleń rodziny Grajnych, a mianowicie babcia Maria z mężem Józefem, najstarsza córka Halinka z mężem i ich pięcioletni syn, mogli pojechać do Związku Radzieckiego. Przez kilka dni próbowali nadrobić 35 lat rozłąki. Rodzice babci Marii, Marcelina i Ludwik Krzywiccy, już nie żyli. Rodzina Grajnych mogła tylko odwiedzić cmentarz i pomodlić się nad grobem. Najwięcej czasu na serdecznych rozmowach spędziły babcia Maria i jej siostra Stanisława. Babcia dzieliła się swoimi przeżyciami z pobytu w Niemczech. Stanisława opowiedziała o niesprawiedliwym aresztowaniu i torturowaniu ojca Ludwika Krzywickiego w więzieniu w Chmielniku oraz o swojej bardzo ciężkiej i niebezpiecznej pracy w kopalni, a także o realiach życia w Związku Radzieckim pod rządami Stalina. Stanisława wyznała, że własnym dzieciom nie opowiadała najboleśniejszych przeżyć, aby w ich sercach nie zrodziła się nienawiść do kraju, w którym przyszło im

żyć. Obie natomiast doszły do przekonania, że życie Marii w kraju, który rozpętał wojnę światową, wymyślił nieludzką teorię „podludzi”, obozy koncentracyjne i komory gazowe, było o niebo lepsze niż jej życie w kraju rodzinnym.

Te dwie historie opisałam dość obszernie, na podstawie tego, co sama zapamiętałam z opowieści mamy i teściowej, oraz na podstawie rozmów z rodziną teściowej. Chciałam też te wydarzenia, trochę już w rodzinie zapomniane, zweryfikować i zostawić dla następnego pokolenia. Podobnych historii o dobrych Niemcach można znaleźć w literaturze pamiętnikarskiej i w archiwach wiele. Nie chciałam się ograniczać tylko do wspomnień z kręgu mojej rodziny, ponieważ źródła pamiętnikarskie są tym wiarygodniejsze im bardziej liczne i potwierdzające daną tezę.

Na koniec przytoczę kilka fragmentów z książki Joanny Kuciel-Frydryszak pt. *Chłopki* (wyd. Marginesy, Warszawa 2023). Autorka zamieściła w niej autentyczne relacje i wspomnienia chłopek — młodych dziewczyn i kobiet, które wyjechały w czasie II wojny światowej na roboty przymusowe do niemieckich gospodarstw. Ponieważ ich losy są podobne do losów mojej teściowej Marii, postanowiłam dołączyć te wspomnienia do niniejszego artykułu.

Pierwsze to wspomnienia Heleny Robendy, 17-letniej dziewczyny z biednej rodziny, która dobrowolnie zgłosiła się do pracy w Niemczech jako służąca. Trafiła do leśniczego Hermana Schönera w Rogelmühle (obecnie Młyńskie Stawy koło Namysłowa). Czas spędzony na przymusowych robotach w leśniczówce tak opisała: „Jadłam razem z nimi przy jednym stole i tu muszę podkreślić, że Niemcy chociaż wróg, ale robotnika lepiej uszanowali niż nasi ziomkowie. Byłam przecież u kilku państwa, ale wszędzie były dwa stoły, tzn. dla państwa i służby”. W innym fragmencie pamiętnika Helena wspomina, że pani w maju 1942 r. wzięła ją do Wrocławia i zafundowała bilet do ZOO. Helena pierwszy raz w życiu widziała egzotyczne ptaki i zwierzęta. W listopadzie 1942 r. kupiła jej ciepły zimowy płaszcz. Helena w pamiętniku ocenia relacje między gospodarzami a służącą jako „przyzwoite” (s. 441–442).

Drugie wspomnienie — babci Anieli — spisał jej wnuk Maciej Jakubowiak: „Aniela nie była z tych najbardziej narzekających, ale opowiadała, że pierwszy raz w życiu najadła się do syta jak trafiła

na roboty przymusowe w gospodarstwie rolnym III Rzeszy. Opowiadała też, że jako najlepszy okres w swoim życiu wspomina te kilka lat, kiedy Adolf Hitler uczynił z niej niewolnicę” (s. 422).

Trzecią historię opowiedziała Agnieszce Jędrzejczyk jej 80-letnia ciotka, która w wieku 20 lat trafiła na roboty przymusowe do Niemiec, na które zgłosiła się zamiast młodszej siostry. Pracowała w Nadrenii u bauera z dwójką dzieci. Młoda Polka miała przerzucać gnój i doić krowy. Na szczęście wzięła ze sobą do Niemiec zeszyty ze szkoły gospodarczej — jak powiadała — „pięknie prowadzone”. Dowód na to, że nie jest zwykłą dziewczyną ze wsi. Ciotka Agnieszki Jędrzejczyk tak to wspominała: „I gospodyni, Niemka Gertruda, kiedy te zeszyty zobaczyła, powiedziała: «Wiesz co? Ty będziesz gotować, a ja będę doiła krowy». I to było bardzo słynne w tej miejscowości potem, bo się bauerzy bardzo buntowali i mówią tak: «jak to jest, że Polka podobnie gotuje?». A on mówi tak: «a bo ona studiowała, nie nauczyła się krów. Tak mi Polacy opowiadali, ci co byli u tych»” (s. 449–450).

Myślę, że opisane przykłady wystarczą, aby zrozumieć, że zwyyczajni, prości i uczciwi obywatele Niemiec, a więc mieszkający na wsi rolnicy czy ciężko pracujący robotnicy, nie czuli się odpowiedzialni za wojnę i cierpienia jej ofiar. Nie wszyscy interesowali się polityką, nie do wszystkich docierała hitlerowska i goebbelsowska propaganda. Faktem jest, że wielu korzystało z materialnych zysków, które przynosiła wojna, w myśl zasady: „jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj”. Ale prawdą jest, że to przede wszystkim politycy i rządzący wywołują wojny, a ciężar tych konfliktów zbrojnych i ich konsekwencje spadają na barki zwykłych, dobrych ludzi. Warto więc i dziś, w trudnych i niezbyt bezpiecznych czasach, dobrze się zastanowić, kto jest naprawdę naszym wrogiem, a kto pokrzywdzonym przez los, któremu trzeba okazać współczucie, solidarność, zrozumienie i pomoc. Każdy z nas może się przecież kiedyś znaleźć w sytuacji tego obcego i nie lubianego.

Marcin Kania

FOTOGRAFIA ODNALEZIONA BEZ SZUKANIA

1.

Teraźniejszość j e s t — po prostu. Oddycham nią, doświadczam jej. W niej piszę niniejszy artykuł, nad którym pracę rozpocząłem w Krakowie, w piątek 3 października o godzinie 6:57. Przeszłości już nie ma. Wydarzyła się, zaistniała i przeminęła — jak dla czytelników tych słów przeminął bezpowrotnie tegoroczny trzeci dzień października oraz każdy poprzedni trzeci dzień dziesiątego miesiąca roku. Przyszłości też nie ma — j e s z c z e. Stanie się wraz z kolejnym oddechem, kolejnym uderzeniem serca, z nadciągającą właśnie zimą, a po niej — wiosną i latem. Z każdym utrwalonym graficznie znakiem pisarskim, z każdym napisanym bądź przeczytanym słowem i zdaniem. Z każdym ruchem jednego obiektu względem innego — w skali mikro bądź w skali makro.

Rzeka czasu jest niezwykle pojemna, obejmuje swym nurtem ludzi, przedmioty i zjawiska; wszelkie struktury wypełniające rzeczywistość. Pozostawia jednak ślady, artefakty wyrzucone przez jej fale na brzeg. Owym brzegiem jest w tym wypadku nasze t e r a z, artefaktami natomiast — różnego rodzaju świadectwa istnienia.

Czym zatem jest sam czas? Św. Augustyn w *Wyznaniach* zanotował, że ogólnie wie, czym czas jest, lecz zapytany o to zjawisko — traci pewność swego osądu. Posiłkuje się przeto obserwacją uczestniczącą, która prowadzi go do następującej konkluzji: „mówię, że wiem, że gdyby nic nie przechodziło, nie byłoby czasu przeszłego, jeśliby nic nie nadchodziło, nie byłoby czasu przyszłego, a jeśliby nic nie było, nie byłoby czasu teraźniejszego”¹.

To, co było, objawia nam się na różne sposoby. Przeszłość można ubrać w słowa lub obrazy, o przeszłości mogą świadczyć pozostawione przedmioty lub budowle. Słowa przybierać mogą formę obszernych wspomnień albo drobnych reminiscencji, tęgich stu-

¹ *Wyznania Świętego Augustyna*, tłum. M. Bohusz-Szyszko, Wilno 1882, s. 273.



SKARŻYNA - RATUSZ 1935

diów, dociekliwych analiz, uważnych rekonstrukcji bądź uwag i uzupełnień. Obrazy — te piórkiem i te pędzlem tworzone — mogą zawierać ładunek prawdopodobieństwa lub być świadectwem wyobraźni autora (chcemy czy nie, jesteśmy na nią bardzo podatni). Są jeszcze przedmioty. Mogą przypominać nam o tych, którzy odeszli, lub jedynie nosić ślady po użytkownikach. Stosunkowo nowym sposobem uwieczniania rzeczywistości jest fotografia. Od chwili ogłoszenia tego wynalazku w roku 1839 minęło dopiero 186 lat. To niewiele w porównaniu z dziejami malarstwa, rzeźby czy literatury, na tyle jednak dużo, by medium to przeszło różne stadia ewolucji, zmieniając się zwłaszcza w obrębie technologii wytwarzania oraz przetwarzania obrazu (zob. *cyfrowa rewolucja*). Od samego początku na fotografię nakładano obowiązek poświadczania istnienia, prezentowania świata takim, jakim jest, nie zaś jakim się zdaje lub zdawał. Miała mówić prawdę².

Albowiem fotografia, aby zaistnieć, potrzebuje rzeczywistości — świata widzialnego (także: widocznego w świetle) i jego widzialnych (widocznych) komponentów. Pisarz ma prawo tworzyć fikcję, powoływać w narracjach do istnienia formy fantastyczne, funkcjonujące wyłącznie w jego wyobraźni, następnie zaś — w wyobrażeniach czytelników (choć ich konkretyzacje zawsze będą się od siebie różnić). Podobnie malarz, kładąc na płótnie wizerunki fantastycznych światów i stworzeń, może kierować się wyłącznie własną, niczym nieskrępowaną wyobraźnią. Tymczasem fotografia jest „lustrzanym odbiciem fizycznie istniejącej rzeczywistości”³. Nawet zwykły portret staje się dowodem na to, że ktoś przeżył swoje życie.

2.

Pod koniec lipca bieżącego roku w antykwariacie internetowym nabyłem zestaw składający się z pięciu czarno-białych odbitek fotograficznych o wymiarach *circa* 6 × 4 cm. Odbitki zostały opisa-

² Więcej o prawdzie w fotografii: A. Rouillé, *Fotografia. Między dokumentem a sztuką*, tłum. O. Hedemann, Kraków 2005, rozdziały II i III.

³ W. Barchacz, *Fotoamator reporter*, Warszawa 1987, s. 8.

ne, nie zostały jednak podpisane, można je zatem umownie określić mianem osieroconych. Odbitki najprawdopodobniej pochodziły z rodzinnego albumu. Ktoś je starannie doń wklejał, ktoś inny, z pewną starannością, odkleił. Całość pakietu możemy ułożyć alfabetycznie w następujący zbiór: [1.] „Bukowina 1955”; [2.] „Dolina Szklarki, IX 1955”, [3.] „Lipa pod Jordanowem, 23.7.1955”; [4.] „Porąbka, maj 1955” oraz [5.] „Skawina — Ratusz 1955”. Ujęcia o numerach 1 i 2 mają charakter krajobrazowy, są próbą uwiecznienia miejsc, które ich autora wprawiły w zachwyt na tyle, by ich widoki „zabrał” na pamiątkę. Na zdjęciach numer 3 i 4 pojawiają się z kolei całopostaciowe wizerunki osób — turystów zanurzonych w rustykalny krajobraz, radosnych i odprężonych, pozujących w ruchu lub w bezruchu. Ostatnie, szczególnie interesujące nas ujęcie, zostało wykonane w Skawinie, w słoneczny dzień — jeśli wierzyć dopiskowi na marginesie — 1955 r. Wszystkie wspomniane kadry można określić mianem prywatnych i okazjonalnych. Nie wiadomo, czy wykonała je jedna osoba oraz czy pochodzą z jednej kliszy i z jednego aparatu fotograficznego (zapewne tak, w latach 50. ubiegłego stulecia nie były to materiały ani tanie, ani łatwo dostępne). Wszystkie ujęcia zostały natomiast podpisane przez jedną osobę, o czym świadczy charakter pisma.

Przyjrzyjmy się teraz interesującemu nas ujęciu. Jako jedyne z opisywanego zestawu zostało wykonane w układzie pionowym. Taki sposób kadrowania wymusił na autorze wertykalny układ kompozycji „rozwijającej się” w górę — od poziomego wzroku przechodnia-observatora aż po iglicę wieży zegarowej miejskiego ratusza. Zwróćmy uwagę, że wspomniane ujęcie nie ma wyłącznie charakteru prezentacyjnego, jakim cechuje się klasyczna fotografia architektury. Osoba fotografująca, wędrując wzdłuż północnej pierzei rynku, postanowiła wzbogacić ascetyczny widoczek nieruchomości budowlanej o element ludzki. Oto bowiem z lewej strony „wkradła” się w kadr postać kobiety oraz wóz konny. Twarz kobiety jest niewidoczna, widzimy natomiast jej nakrycie głowy. Ta bogato zdobiona w hafty i frędzle chusta stanowi znakomite świadectwo czasu oraz wskazuje na społeczne pochodzenie właścicielki. Decyzja o wykonaniu takiego kadru musiała zapaść szybko, oto bowiem operator aparatu nie zdążył zadbać o zachowanie dyscypliny pozio-

mów i pionów ujęcia. Wieża skawińskiego ratusza, projektu Władysława Ekielskiego (1855–1927), chyli się lekko w prawo. Ponadto także z prawej strony „wszedł” w kadr rozmazany cień. Czasem na zdjęciach fotoamatorek i fotoamatorów ów niepożądany artefakt był spowodowany pojawieniem się tuż przed obiektywem dłoni ustawiającej ostrość lub elementu etui aparatu⁴.

Pozostając jeszcze przy estetycznych aspektach obrazu: niniejszą fotografię nazwałbym „obrazem czystym” (*patet imago*), wolnym od wszelkich rygorów obowiązujących profesjonalnego fotografa lub nawet zaawansowanego amatora, takich jak: uważne kadrowanie, przemyślana kompozycja, ściśle zachowane proporcje, realizm i brak manipulacji. Nazwałbym ją jednocześnie — za Krzysztofem Millerem — „fotografią brudną”, obarczoną technicznymi niedociągnięciami, a przez to bardziej autentyczną. Fotoreporter nie ma czasu na estetyzowanie, walorem jego zdjęć jest ich t r e ś ć, forma zaś pozostaje dlań czymś mniej istotnym. Taką też fotografię prezentujemy Czytelnikom — bez retuszu, bez upiększeń, możliwie jak najbardziej zgodną z oryginałem. Jest ona świadectwem czasu, w którym została wykonana. Artefaktem wyrzuconym przez fale na brzeg. Dowodem istnienia miejsca i ludzi z nim związanych. Swoistym oknem, przez które można podejrzeć przeszłość. C z a s e m p o z o r n i e z a t r z y m a n y m, którego wizerunek możemy kontemplować i studiować — o wiele dłużej, niż trwało uchwycone na kliszy zdarzenie.

3.

Omówioną fotografię publikuję w dobrej wierze, jako pamiątkę po czasie minionym. Oryginał pozostaje w moich zbiorach prywatnych. Pisać niniejszy tekst zakończyłem w piątek 10 października o godzinie 7:30. Była to wówczas moja t e r a ż n i e j s z o ś ć, która obecnie jest już p r z e s z ł o ś c i ą. Co będzie dalej — czas⁵ pokaże...

⁴ Więcej o tym problemie zob. w: R. Kreyser, *Błędy fotograficzne w czarno-białej fotografii amatorskiej*, Warszawa 1971, fot. 48 i 49.

⁵ Stanisław Bajtlik poświęcił temu zagadnieniu arcyciekawy wykład pt. *Co to jest czas?* Wykład jest dostępny online.

Anna Tarnopolska

SZLAKIEM SOLI, KOLEI I... KANAPEK Z JAJKIEM, CZYLI WAKACYJNA WYPRAWA DO BOCHNI

Skawina, 17 lipca 2025 r. Godzina 8:16. Dworzec w Skawinie tętnił życiem bardziej niż w sezonie narciarskim. Z jednej strony słychać było: „Masz bilet?”, „Nie zapomnij apteczki!”, „Kto ma jeszcze miejsce w plecaku na kabanosy?”, z drugiej — radosne: „Jedziemy do kopalni!”

Wyruszyliśmy grupą 22 śmiałków. Towarzystwo Przyjaciół Skawiny, wraz z niezawodnym Kołem Miejskim PTTK nr 27, postanowiło udowodnić, że turystyka bez auta to nie kara, lecz przyjemność — nawet jeśli czasem w pociągu trzeba trochę postać. Byli wśród nas doświadczeni wędrowcy z plecakami pamiętający jeszcze czasy PKS-u, jak i debiutanci, którzy dzień wcześniej pytali, czy na wycieczkę pociągiem trzeba zabrać paszport. Jedno jest pewne — zapał i humor dopisywały wszystkim bez względu na wiek i liczbę przebytych kilometrów. Atmosfera przypominała szkolną wycieczkę, tylko z lepszą kawą i mniejszym ryzykiem zgubienia kogoś w toalecie.

Pierwszy etap naszej wyprawy — podróż do Bochni — odbył się oczywiście koleją. Zgodnie z ekologicznym duchem projektu ani jeden litr benzyny nie padł ofiarą naszej mobilności. Co więcej — bilety kupione, rozkład jazdy opanowany, a uśmiechy nie gasły mimo porannego deszczu, który tego dnia postanowił wyjątkowo się rozszaleć. W przedziałach królowały wachlarze, ploteczki i... termosy z kawą. Pojawiły się też ciasteczka domowej roboty („z mąki orkiszowej, bo przecież jedziemy zdrowo!”) oraz krzyżówki, które rozwiązywano wspólnie. Tylko raz ktoś zapytał: „Czy my na pewno jedziemy w dobrą stronę?”, ale to zapewne z czystej troski o pasażerów, a nie braku zaufania do kierowniczk wycieczki...

Kopalnia Soli w Bochni nie zawiodła. Gdy zjeżdżaliśmy na głębokość 248 metrów, emocje były wyczuwalne niczym sól w maśle. Część uczestników ścisnęła mocniej poręczę, inni — swoje torebki, a niektórzy po prostu... zamknęli oczy i marzyli o obiedzie.

Podziemne korytarze zachwyciły wszystkich — z jednej strony surowa historia ciężkiej pracy, z drugiej — nowoczesne multimedialne ekspozycje, które mówiły do nas jak aktorzy z Netflixa. Przewodnik opowiadał o dawnych metodach wydobywania, a my — z dużym zainteresowaniem — odkrywaliśmy, że sól to nie tylko przyprawa, ale też fundament lokalnego dziedzictwa.

Dowiedzieliśmy się na przykład, że kopalnia w Bochni to najstarszy zakład górniczy w Polsce, działający nieprzerwanie od roku 1248! Zobaczyliśmy komorę Ważyn — jedną z największych w Europie udostępnionych do zwiedzania, gdzie można... przenocować i zagrać w piłkę nożną. Co bardziej dociekliwi dopytywali o podziemne kaplice — szczególnie kaplicę św. Kingi, wykuta w soli z taką precyzją, że wielu z nas oniemiało z wrażenia. Dziecięca część wyobraźni obudziła się na dobre, gdy usłyszeliśmy legendę o pierścieniu św. Kingi, który miał zostać cudownie odnaleziony właśnie tu, w bochniańskiej soli. Kto wie — może nadal gdzieś błyszczy w ścianach kopalni?

Z ciekawostek: w kopalni działała niegdyś specjalna kolejka podziemna do przewozu urobku — dziś tory służą już tylko turystom, ale robią ogromne wrażenie. Mało kto wie, że w czasie II wojny światowej Niemcy planowali przekształcenie części kopalni w podziemną fabrykę zbrojeniową. Na szczęście do realizacji tych planów nie doszło, a kopalnia przetrwała bez większych zniszczeń. Co odważniejsi z naszej grupy zadawali pytania o duchy górników — przewodnik uśmiechnął się tajemniczo i odparł, że jeśli ktoś nocuje w kopalni i usłyszy stukanie w ścianę, to lepiej... grzecznie odpowiedzieć. W końcu pod ziemią wszystko może się zdarzyć!

Po wycieczce przyszedł czas na obiad w stylu bocheńsko-kopalnianym: zupa pomidorowa, drugie danie i kompot — serwowane w podziemnej stołówce, której industrialny klimat mógłby spokojnie trafić na listę atrakcji. Niektórzy uznali, że to najlepszy posiłek sezonu, inni — że od dziś nie jedzą niczego bez kopalnianej soli.

Wspólny stół sprzyjał rozmowom. Pani Maria, seniorka z niemałym doświadczeniem turystycznym, opowiadała o wycieczkach sprzed 40 lat, a młodsze pokolenie dopytywało: „Naprawdę jeździło się na wczasy pociągami z własną poduszką?”.



Uczestnicy projektu w bocheńskiej kopalni soli

Po pięciu godzinach pod ziemią wyruszyliśmy rażno na dworzec PKP Bochnia. Miasto pożegnało nas uśmiechem gołębi i powiewem cieplejszego powietrza, które po solnych podziemiach wydawało się niemal tropikalne.

Tym razem nie było pożegnań z łezką w oku ani pamiątkowych niespodzianek — tylko lekki gwar na peronie i serdeczne „do zobaczenia!”. Bo — jak przypominała pani Ewa — „turystyka zaczyna się tam, gdzie kończy się lenistwo”.

Wróciliśmy pełni wrażeń, zdjęć i nowych znajomości. Uczestnicy zgodnie podkreślali, że wyjazd nie tylko był dobrze zorganizowany, ale też dał im poczucie wspólnoty — a to dziś rzecz bezcenna. Wielu z nich po raz pierwszy od dawna wybrało się na taką wycieczkę, niektórzy po raz pierwszy od czasów liceum jechali koleją.

— „Nie sądziłam, że jeszcze pojadę na wycieczkę z plecakiem i wrócę bez zakwasów!” — śmiała się pani Jadzia.

Projekt „Szlakiem soli i kolei — z plecakiem przez historię” zrealizowany został w ramach konkursu: „Turystyka i krajoznawstwo — promocja mobilności w gminie Skawina”, ogłoszonego w 2025 r. przez Urząd Miasta i Gminy w Skawinie — Wydział Promocji, Sportu i Współpracy. Udowodnił, że można łączyć edukację z rekreacją, mobilność z integracją, a wycieczkę z dawką historii i porządnym obiadem. A wszystko to bez auta, bez stresu i bez konieczności kupowania winiety na autostradę.

Anna Tarnopolska

„POD NIEBEM AFRYKI”.
REPORTAŻ Z IX MAŁOPOLSKIEGO
KONKURSU ARTYSTYCZNEGO
IM. MARII GRUCY

Bywa, że pewne miejsca nagle zmieniają swoje przeznaczenie. Dworek Skawiński — na co dzień elegancka przestrzeń spotkań — 17 czerwca br. przestał być budynkiem. Stał się kontynentem. Organizatorem wernisazu był Środowiskowy Dom Samopomocy w Skawinie, a nad całością czuwały Dyrektor ŚDS Stanisława Szczepaniak oraz kurator wystawy Joanna Sułkowska. Przekraczając próg sali wystawowej, wchodziło się w Afrykę: wielobarwną, symboliczną, nieokiełznaną, a jednak bliską.

Nie trzeba było przewodnika ani mapy. Drogę wyznaczały płótna i kartony, które — raz drżące od intensywnych czerwieni i oranżów, innym razem zatopione w chłodnych błękitach — tworzyły pejzaż zbiorowej wyobraźni. Każdy obraz był osobnym światem, ale razem składały się na mozaikę doświadczeń i marzeń.

Na ścianach wisały 142 dzieła nadesłane przez 42 ośrodki Środowiskowych Domów Samopomocy z całej Małopolski. Każdy z obrazów miał swoją historię — powstawał w ciszy pracowni, w chwilach skupienia albo w radosnym zgiełku wspólnych zajęć. W ich cieniu stali autorzy — często niepewni, zawstydzeni, a zarazem dumni, bo oto ich sztuka wyszła poza mury ośrodków, poza codzienny rytuał terapii. Teraz spotykała się z widzami: z ich zachwytem, pytaniami, uśmiechami. Był to moment nie tylko prezentacji, ale i symbolicznego przekroczenia granicy — wyjścia do ludzi, do świata, w którym twórczość stawiała się równoprawnym głosem w rozmowie o pięknie i sensie.

Patronka konkursu, Maria Gruca, urodziła się w 1948 r. Dzieciństwo spędziła w Skawinie, młodość — w Domu Dziecka w Dobrej. Tam, razem z siostrą bliźniaczką Krystyną, odkryła swój talent. Potem życie rozproszyło pasję — zostały małe formy, rysunki kredkami i pisakami. Dopiero w 2005 r., gdy trafiła do Środowiskowego



Domu Samopomocy w Skawinie, malarstwo powróciło ze zdwojoną siłą.

Jej pejzaże i portrety dzieci, obrazy aniołów i sceny życia codziennego były nie tyle kopiami świata, co próbą oswojenia jego złożoności. Gruca malowała, by ocalić sens — i w tym właśnie tkwi jej przesłanie. Dla wielu uczestników konkursu jest wzorem, że nawet gdy życie stawia przeszkody, sztuka może stać się mostem.

Tegoroczny temat brzmiał: „Pod niebem Afryki”. Nie chodziło jednak o dokumentalny realizm. Afryka stała się metaforą — miejscem kontrastów, symbolem wspólnoty, a czasem przestrzenią marzeń i tęsknot. Była też lustrem, w którym każdy uczestnik mógł odnaleźć własną historię: o odwadze, o drodze ku wolności, o barwach codzienności i duchowym bogactwie. Temat otworzył przestrzeń interpretacji tak szeroką, że Afryka rozbrzmiewała tu w setkach indywidualnych głosów.

Grand Prix zdobył Adam Rozpędzik (ŚDS Vita) za poruszający portret afrykańskiej kobiety. Twarz, silna i pełna dumy, patrzyła z płótna tak, jakby rozmawiała z widzem bez słów. Pierwsze miejsce otrzymała Maria Celak (ŚDS Wadowice, filia w Andrychowie) za obraz inspirowany obrazem nieznanego autora, pełen ciszy i duchowej powagi. Drugie i trzecie miejsca zajęli kolejno: Lucyna Budyn (ŚDS Bochnia) za subtelny „Portret Afrykanki” oraz Jacek Gawel (ŚDS Pałacznica), który zauroczył komisję własną interpretacją internetowej inspiracji.

Ale nie tylko nagrody były ważne. Obok nich — wiele wyróżnień. Uhonorowano m.in. Agatę Pająk i Katarzynę Kapelan z ŚDS w Skawinie, których prace inspirowane były twórczością Tilly Willis i Reagana Ohene Adjei, a także Annę Kowal i Piotra Urbana, których obrazy pełne były energii i świadczyły o dużej wyobraźni autorów. Wśród wyróżnionych znaleźli się też artyści z ośrodków w Babicach, Dobczycach, Chełmku, Woli Filipowskiej, Sułkowicach, Oświęcimiu czy Gorlicach. Ich wizje Afryki — od pejzaży sawanny, przez kolorowe maski, po sceny z życia codziennego — rozszerzały mapę tego symbolicznego kontynentu. Afryka jawiła się raz jako kontynent zwierząt, raz jako przestrzeń duchowa. Była też Afryką codzienności — kobiet wracających z zakupami, dzieci bawiących się przy zachodzącym słońcu, mężczyzn niosących trzcinę.

Jak pisał Umberto Eco, każde dzieło sztuki jest „otwartym dziełem” — nie kończy się na płótnie, lecz trwa w interpretacjach. I rzeczywiście: każdy z widzów inaczej odczytywał te obrazy. Dla jednych były to opowieści o odległej kulturze, dla innych — metafory życia tutaj, w Małopolsce.

Nad oceną prac czuwała komisja w składzie: Krystyna Drożdżewicz, Ewa Masłowska, ks. Andrzej Lichosyt, Marian Strzeboński oraz Mariusz Tarnopolski. Ich zadanie nie było łatwe — bo jak oszacować wagę emocji. Jak przyznać miejsca, jeśli każdy obraz jest szczerym świadectwem?

Może właśnie dlatego lista nagrodzonych była tak długa — niczym mozaika, w której każdy fragment musi znaleźć swoje miejsce. Jury starało się nie zgubić żadnego głosu, dostrzec każdy niuans, każdą próbę opowiedzenia świata barwami i kształtem.

Gdy nadszedł dzień wernisażu, Dworek Skawiński wypełnił się gośćmi. Byli artyści i ich rodziny, przedstawiciele władz, terapeuci, wolontariusze, a także mieszkańcy Skawiny. Razem — ponad 100 osób.

Atmosfera przypominała święto. Były chwile wzruszenia, gdy autorzy stawali obok swoich obrazów. Były też momenty śmiechu — bo sztuka, choć poważna, bywa także radosna. W powietrzu unosił się zapach kawy i ciasta, ale ważniejsze były rozmowy: o technikach malarskich, o inspiracjach, o codzienności w ŚDS-ach.

Rozmowy te, pełne ciekawości i szczerzej wymiany doświadczeń, przedłużyły wernisaż poza ramy oficjalnego programu, sprawiając, że Dworek brzmiał niczym wielogłosowy chór, w którym spletały się opowieści o sztuce i życiu.

Wernisaż był nie tylko wystawą, ale i okazją do integracji. To spotkanie pokazało, że sztuka nie zna barier i potrafi jednoczyć ludzi ponad granicami codzienności. Niepełnosprawność, wiek czy miejsce zamieszkania — wszystko traciło znaczenie wobec siły obrazu, wspólnego przeżywania i rozmowy. W tym momencie Dworek stał się nie tyle galerią, co żywą agorą, gdzie sztuka była językiem porozumienia i narzędziem budowania wspólnoty.

Na pamiątkę wydano katalog ze 100 wybranymi pracami. Skromny, pozbawiony plastikowej okładki, zgodny z ekologiczną filozofią projektu, stał się przewodnikiem po afrykańskim kontynencie wyobraźni. To książka, którą można zabrać do domu — i wraz z nią zachować wspomnienia z wernisażu, który minął, lecz trwa w obrazie i pamięci. Wydanie katalogu było możliwe dzięki wsparciu władz województwa małopolskiego i gminy Skawina, co nadało mu wymiar nie tylko artystyczny, ale i wspólnotowy — każdy egzemplarz jest znakiem troski o pamięć i dostęp do sztuki.

IX edycja Małopolskiego Konkursu Artystycznego im. Marii Grucy udowodniła, że sztuka jest narzędziem nie tylko estetycznym, ale i społecznym. Buduje wspólnotę, łączy pokolenia, przełamuje stereotypy. Skawina, jako gospodarz wydarzenia, jeszcze mocniej wpisała się w mapę kulturalną Małopolski.

A uczestnicy? Oni wyjechali z Dworku z dyplomami, nagrodami, katalogami. Ale przede wszystkim — z poczuciem, że ich głos został usłyszany oraz że stali się częścią większej opowieści, w której ich pasja, sztuka i wysiłek nabrały znaczenia także poza murami ŚDS-ów.

Działanie uzyskało dofinansowanie w ramach konkursu: „Podtrzymywanie tradycji narodowej, pielęgnowanie polskości, rozwój świadomości narodowej, obywatelskiej i kulturowej” oraz „Kultura, sztuka, ochrona dóbr kultury i dziedzictwa narodowego”, ogłoszonego w 2025 r. przez Urząd Miasta i Gminy w Skawinie — Wydział Promocji, Sportu i Współpracy.

Anna Tarnopolska

„MELODIA ZDROWIA I RADOŚCI” — OCZAMI WOLONTARIUSZKI

Kiedy po raz pierwszy przekroczyłam próg sali, w której odbywały się próby zespołu „Niesiemy Radość”, poczułam w powietrzu coś więcej niż tylko dźwięki ćwiczonej melodii. Była tam obecna energia, której trudno doświadczyć gdzie indziej — energia wspólnoty, odwagi i pragnienia, by jeszcze raz dać coś z siebie światu.

Na stołach piętrzyły się śpiewniki, nuty i kubki po kawie, a w kącie cicho stał keyboard. Seniorzy — jedni z lekkim niepokojem, inni z wyraźnym błyskiem w oku — zbierali się powoli, witając znajomych uściskiem dłoni albo serdecznym „Dzień dobry”. To właśnie w tej zwyczajności kryła się niezwykłość projektu „Melodia Zdrowia i Radości — Aktywni Seniorzy”.

Już pierwsze warsztaty muzyczne były dla mnie lekcją pokory. Pani Maryla, trenerka, rozpoczynała rozgrzewkę głosu, a ja — stojąc gdzieś z boku — obserwowałam, jak uczestnicy krok po kroku odnajdują pewność w wydobywanych dźwiękach. Nie każdy od razu śpiewał czysto, nie każdy pamiętał tekst, ale każdy miał w sobie determinację, by spróbować.

— To nie konkurs, to przygoda! — powtarzała pani Maryla, a seniorzy odpowiadali śmiechem. I tak naprawdę właśnie o to chodziło — nie o perfekcję, ale o radość, którą niesie muzyka.

Z każdym dniem repertuar nabierał kształtu. Pojawiały się pieśni dobrze znane z dawnych lat, ale i nowe aranżacje. Niektórzy uczestnicy zaczęli wychodzić na środek, by zaśpiewać krótkie solo. Patrzyłam, jak bardzo podnosiło ich to na duchu — być znów w centrum uwagi, być znów potrzebnym.

Spotkania z fizjoterapeutą były zupełnie innym doświadczeniem niż próby muzyczne. Odbywały się w gabinecie — w ciszy, jeden na jeden, bez świadków. Każdy uczestnik miał czas tylko dla siebie, a specjalista słuchał, obserwował, podpowiadał.

Seniorzy wracali z tych wizyt zmęczeni, ale też pełni nadziei. Niekiedy mówili:



Goście i uczestnicy wydarzenia. Foto V. Gorshkova

— Dziś bolało, ale czuję się lepiej.

Innym razem:

— Pokazał mi ćwiczenia, które mogę robić w domu.

Choć nie mogłam uczestniczyć w tych spotkaniach, widziałam efekty. Po kilku tygodniach niektórzy chodzili pewniej, inni podnosili ręce wyżej niż wcześniej. To były małe kroki, ale każdy z nich dodawał siły i pewności siebie — także na scenie.

Z biegiem tygodni próby zmieniały się w rytuał. Sala rozbrzmiewała śmiechem, czasem drobnymi kłótniami o tempo czy tonację, ale przede wszystkim widać było wzajemną życzliwość. Widziałam, jak seniorzy otwierają się na siebie nawzajem, jak rodzą się przyjaźnie, jak znika poczucie samotności.

— Wiesz, ja nie miałam już z kim śpiewać w domu. A tutaj mogę — powiedziała mi pani Ewa podczas przerwy na herbatę.

Takie zdania zostają w pamięci na długo.

Kulminacją projektu miał być występ podczas Dnia Organizacji Pozarządowych i Inicjatyw Społecznych. Jednak los i pogoda spłatały figła — deszcz pokrzyżował plany. Dla wielu mogło to być rozczarowanie, ale „Niesiemy Radość” pokazali, że prawdziwa energia nie potrzebuje wielkiej sceny.

Wystąpiliśmy więc w gościnnych progach Placówki Diennej Opieki i Aktywizacji Osób Starszych w formie dla Osób Niezależnych w Skawinie — Filia „Południe”. Sala była mniejsza, pu-

bliczność bardziej kameralna, ale atmosfera — niepowtarzalna. Seniorzy śpiewali tak, jakby przed nimi była największa widownia świata.

Patrząc na nich z perspektywy wolontariuszki, miałam poczucie, że uczestniczę w czymś, co naprawdę zmienia życie.

Projekt „Melodia Zdrowia i Radości — Aktywni Seniorzy” formalnie dobiegł końca, ale dla uczestników to dopiero początek. Został nowy repertuar, zostały zakupione stroje i gry planszowe na spotkania, ale przede wszystkim — została wspólnota. Seniorzy pokazali, że aktywność i pasja nie kończą się wraz z wiekiem. Wręcz przeciwnie — mogą rozkwitać jeszcze pełniej, jeśli tylko znajdzie się przestrzeń i ludzie, którzy pomogą je wydobyć. Dla mnie, jako wolontariuszki, była to także lekcja: że czasem wystarczy być obok — podać krzesło, przynieść nuty, pomóc w ćwiczeniu — by stać się częścią wielkiej zmiany.

Ilekoć teraz słyszę pierwsze takty jednej z piosenek „Niesiemy Radość”, uśmiecham się do siebie, bo wiem, że za tymi dźwiękami kryje się coś więcej niż muzyka — kryje się zdrowie, radość i nadzieja.

Projekt „Melodia Zdrowia i Radości — Aktywni Seniorzy” został zrealizowany przez Towarzystwo Przyjaciół Skawiny i dofinansowany ze środków gminy Skawina.

Małgorzata Kopec

LXXVI MIĘDZYWYPRAWOWE POSIEDZENIE ŁOŻY ZDOBYWCÓW KORONY GÓR POLSKI W SKAWINIE

20 września 2025 r. w Ośrodku Rekreacyjno-Wypoczynkowym „Gubałówka” w Skawinie odbyło się LXXVI Międzywyprawowe Posiedzenie Łoży Zdobywców Korony Gór Polski — prestiżowe wydarzenie skupiające miłośników turystyki górskiej z całego kraju. Było to pierwsze w historii spotkanie Łoży zorganizowane w Skawinie, co stanowiło wyjątkowe wyróżnienie dla naszego miasta oraz lokalnego środowiska turystycznego. Dla autorki tekstu spotkanie było prawdziwą wisienką na torcie — symbolicznym zwieńczeniem jej kilkuletniej przygody ze zdobywaniem wszystkich 28 szczytów należących do Korony Gór Polski.

Inicjatorką i organizatorką przedsięwzięcia była Małgorzata Kopec, która tego dnia wraz z przyjaciółmi została uhonorowana tytułem Zdobywcy Korony Gór Polski.

Klub Zdobywców Korony Gór Polski, zrzeszający blisko 200 tysięcy pasjonatów górskich wędrówek, organizuje spotkania Łoży jedynie kilka razy w roku. Każde z nich ma charakter ogólnopolski i gromadzi od 150 do 250 uczestników. Tym razem do Skawiny przyjechało ponad 260 zdobywców KGP oraz 53 lożantów — osób uprawnionych do weryfikacji osiągnięć członków klubu, co stanowiło rekordową liczbę i świadczyło o dużym zainteresowaniu wydarzeniem.

Idea Korony Gór Polski zachwyca! To świetna okazja, by lepiej poznać nasze rodzime pasma i jednocześnie zdobyć aż 28 szczytów, wędrując po pięknych, górskich szlakach. Podczas przygody z Koroną Gór Polski nie chodzi o zaliczanie szczytów, zdobycie pieczętki i zrobienie pamiątkowego zdjęcia, ale o poznanie danego regionu, pasma górskiego, jego okolic oraz walorów przyrodniczych, kultury i historii.

Pomysł zorganizowania Łoży właśnie w Skawinie narodził się w 2024 r., po zdobyciu przez autorkę tekstu ostatniego szczytu —

Zdobywcy Korony Gór Polski na spotkaniu w Skawinie



Rysów, a dzięki otwartości Łukasza Lisa — szefa Klubu Zdobywców Korony Gór Polski, z którym pani Małgorzata nawiązała kontakt, udało się go zrealizować. LXXVI Międzywyprawowe Posiedzenie Łoży Zdobywców Korony Gór Polski — ku ogromnej radości — odbyło się w skawińskiej „Gubałówce”, która swoją nazwą i atmosferą w naturalny sposób nawiązuje do górskiego klimatu i popularnego szczytu w Zakopanem.

Podczas spotkania Łoży uczestnicy przedstawiali swoje osiągnięcia, dzielili się doświadczeniami z wędrówek i poddawali weryfikacji zdobyte szczyty. Po pozytywnej ocenie łożantów nowi zdobywcy otrzymali dyplomy, odznaki i tytuły Zdobywcy Korony Gór Polski. Ceremonii towarzyszyło wspólne odśpiewanie hymnu Klubu i tradycyjne pasowanie, co nadało spotkaniu podniosły i wzruszający charakter, a Skawina stała się bardzo ważnym miejscem dla pasjonatów gór.

Podczas finałowej uroczystości w Skawinie nie zabrakło również wyjątkowego historycznego akcentu — na wzruszającej ceremonii pasowania na Zdobywcę Korony Gór Polski pojawił się sam król Kazimierz III Wielki w koronie, którego strój został wypożyczony dzięki uprzejmości pani Jadwigi Pierzchały, Dyrektor Muzeum Regionalnego w Skawinie, oraz pani Małgorzaty Skop. Postać władcy przypominała uczestnikom, że Korona Gór Polski to nie tylko sportowe czy turystyczne wyzwanie, ale także pielęgnowanie naszej kultury, tożsamości i tradycji. Dzięki temu Skawina okazała się gospodarzem z tradycją i stała się na jeden dzień stolicą górskich pasjonatów. W wydarzeniu uczestniczyli turyści z całej Polski — m.in. ze Szczecina, Gdańska, Gdyni, Elbląga, Bełchatowa, Lublina, Warszawy, Wrocławia, Gliwic, Katowic, Krakowa, Łodzi, Kielc, Tarnowa, Częstochowy, Jasła, Bydgoszczy i wielu innych miast, których nie sposób wymienić. Wszyscy przybyli tu, by wspólnie świętować swoje osiągnięcia i wymieniać doświadczenia z górskich szlaków. Warto nadmienić, że z „królem” chciał się sfotografować niemal każdy uczestnik, co dodało uroczystości wyjątkowego, radosnego charakteru.

Dzięki współpracy z Muzeum Regionalnym w Skawinie część uczestników miała okazję zwiedzić wystawy poświęcone historii miasta i regionu. Inicjatorka i organizatorka Łoży przygotowała również dodatkowe informacje o lokalnych atrakcjach turystycz-

nych i miejscach wartych odwiedzenia. Należy podkreślić, że wydarzenie idealnie wpisało się w Europejski Tydzień Mobilności, organizowany w tym czasie przez gminę Skawina.

Nie zabrakło także elementów promujących miasto. Dzięki specjalnej ścianie fotograficznej z logo Skawiny uczestnicy mogli uwiecznić swoje chwile w Skawinie, a zdjęcia z wydarzenia obiegły media społecznościowe w całej Polsce.

Organizacja Łoży w Skawinie była możliwa dzięki zaangażowaniu wielu osób i instytucji. Szczególne podziękowania należą się: Dyrekcji i Pracownikom Muzeum Regionalnego w Skawinie, Dyrekcji i Pracownikom Centrum Kultury i Sportu w Skawinie, Elżbiecie i Włodzimierzowi Młynarczykom, właścicielom „Drink Bar Gubałówka”, oraz wszystkim osobom i organizacjom, które wspierały przygotowanie wydarzenia.

LXXVI Międzywyprawowe Posiedzenie Łoży Zdobywców Korony Gór Polski w Skawinie było wydarzeniem o znaczeniu i zasięgu ogólnopolskim, które w wyjątkowy sposób promowało Skawinę jako miasto otwarte, aktywne i przyjazne pasjonatom turystyki, w którym mieszkają osoby z pasją.

Dzięki pasji mieszkańców gminy i podjętej współpracy z lokalnymi instytucjami Skawina na jeden dzień stała się miejscem spotkania ludzi, których łączy miłość do gór, przyrody i wspólnego działania.

Dziękuję wszystkim za współpracę i wsparcie w organizacji tego wyjątkowego wydarzenia. Cześć Gór! Do zobaczenia na szlaku. Małgorzata Kopeć — Zdobywczyni Korony Gór Polski

P.S. Warto dzielić się swoją pasją i przygodami z innymi. Wiem, że dla wielu byłam inspiracją do odkrywania piękna gór w ramach KGP. Trzymam kciuki za wszystkich, którzy wciąż zdobywają lub będą zdobywać swoją Koronę Gór Polski. Niech każdy z nich przeżyje równie piękny moment pasowania, jak ten, który miał miejsce w Skawinie.

Anna Tarnopolska

SŁOWA, KTÓRE LECZĄ. SPRAWOZDANIE Z REALIZACJI PROJEKTU „ARTETERAPIA — CZYLI LUDZIE LISTY PISZĄ”

Niektóre historie zaczynają się od papieru i farby. Inne — od rozmowy. Ale ta zaczęła się z potrzeby serca. W Środowiskowym Domu Samopomocy w Skawinie zrodził się pomysł, by słowa niosły ukojenie, a rękodzieło — ciepło i pamięć. Tak narodził się projekt „Arteterapia — czyli ludzie listy piszą”, który połączył trzy wymiary: sztukę, terapię i społeczne zaangażowanie.

Projekt był zaproszeniem do dialogu. Uczestnicy — trzydziestoosobowa grupa osób z niepełnosprawnościami — przez kilka miesięcy spotykali się, by tworzyć i rozmawiać. Najpierw z psychologiem, potem z literatami i arteterapeutami. Z każdej z tych rozmów rodziły się listy — nie do instytucji, lecz do człowieka. Do tego, kto może być samotny, chory, zapomniany. Do starszej sąsiadki, do dawnego przyjaciela, do kogoś, kto potrzebuje słowa otuchy. W dalszej kolejności powstały pocztówki — ponad 90 małych dzieł sztuki, ręcznie zdobionych, malowanych, wyklejanych. Każda kartka miała w sobie coś osobistego: fragment duszy autora, wspomnienie, marzenie.

Pod opieką pani psycholog uczestnicy wzięli udział w zajęciach terapeutycznych, które pozwoliły im opowiedzieć o emocjach, często skrywanych przez lata. Słuchali też o sile empatii i odwadze bycia w relacji. Potem przyszła kolej na warsztaty literackie, podczas których powstawały teksty — szczere, wzruszające, czasem zabawne. Wreszcie warsztaty arteterapii poprowadziły terapeutki, które pomogły przenieść te słowa na papier i tkaninę.

Zajęcia przerodziły się w proces budowania poczucia własnej wartości, dla niektórych były pierwszym krokiem w kierunku umacniania wiary w siebie. Ktoś po raz pierwszy odważył się przeczytać głośno swój tekst, ktoś inny — zaprojektował pocztówkę inspirowaną wspomnieniem z dzieciństwa. Z czasem między uczestnikami wytworzyła się nić porozumienia, a między nimi a odbiorcami listów — coś na kształt niewidzialnej wspólnoty.



Rezultaty projektu nie trafiły do szuflady. Kartki i listy przekaza-
no osobom starszym, samotnym i chorym za pośrednictwem księży
z Parafii Świętych Apostołów Szymona i Judy Tadeusza w Skawin-
ie. Ten gest — prosty, a zarazem głęboki — stał się symbolem
otwartego serca. Uczestnicy projektu przekonali się, że można po-
magać nie tylko czynem, ale i słowem, obrazem, chwilą zatrzyma-
nia.

Choć projekt dobiegł końca, jego efekty pozostaną z nami na
długo. W ŚDS w Skawinie powstała stała grupa twórcza, która
kontynuuje pisanie i tworzenie kartek — tym razem już bez ram
czasowych i formalnych. Arteterapia stała się w tym przypadku nie
tylko metodą, lecz częścią codzienności, sposobem komunikacji
i budowania relacji. Bo kiedy sztuka wyrasta z potrzeby serca, nie
kończy się wraz z projektem — trwa w geście, w słowie, w człowie-
ku.

Wydarzenie zostało zrealizowane w ramach projektu: „Działal-
ność na rzecz osób z niepełnosprawnościami”, ogłoszonego w roku
2025 przez Urząd Miasta i Gminy w Skawinie — Wydział Promo-
cji, Sportu i Współpracy.